Nr. 15. Warszawa, dnia 11 Kwietnia (30 Marca) 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub [illegible]

POLITYKA.

PIERWSZA OFIARA.

Gazety zagraniczne zwróciły baczną uwagę na dwa głosy, które jednocześnie odezwały się z Włoch, a które rzeczywiście są bardzo pouczające nietylko w odniesieniu do spraw miejscowych półwyspu Apenińskiego, ale w zakresie stosunków szerszych. Miesięcznik angielski *Contemporary Review* pomieścił artykuł p. t. „Dynastya sabaudzka, papież i rzeczpospolita,“ napisany, a przynajmniej podpisany przez „męża stanu z kontynentu.“ Jeden z polityków włoskich powiedział przed 40 paru laty, że „Rzym należeć może tylko albo do papieża, albo do Rienzego, tj. do rewolucyi“; później zaś Mazzini postawił wróżbę, iż Crispi będzie grabarzem monarchii włoskiej. Otóż autor angielski opiera swój wywód na podstawie tych twierdzeń. Według niego, Italia stacza się po pochyłości w przepaść, a ten ruch ku zgubie rozpoczęła ona od chwili przystąpienia do sojuszu z Prusami. Warunki bowiem przymierza zmusiły ją do wytężenia wszystkich sił materyalnych w kierunku uzbrojeń, które doprowadziły naród do ruiny ekonomicznej. To umożliwia rewolucyę we Włoszech obecnie. Naturalnem zaś i jedynem zakończeniem byłaby rzeczpospolita. Taka forma rządu rozwiązałaby nietylko kwestyę polityczną, ale także religijną. Mimo innych pozorów nikt w Watykanie nie marzy o przywróceniu władzy świeckiej papieżowi w dawnych jej rozmiarach; pragną tam tylko znalezienia drogi wyjścia z dotychczasowego położenia, zgody z rządem, ale nie z rządem pogromców papiestwa, nie z dynastyą sabaudzką, nie z monarchią włoską. Rzeczpospolita, jako świeża i niezmazana plamami zaboru, przedstawiałaby stronę godną układów; nadto, zamieniając kraj na zrzeszenie całostek politycznych i połączywszy się z innemi respublikami latyńskiemi (z Francyą, niezadługo — jak mniema autor — z Hiszpanią i Belgią), uczyniłaby papieża duchowym patronem tej federacyi i poniekąd wskrzesiłaby jego władzę świecką.

O ile wywód ten zdradza skryte pragnienia Watykanu, a nawet po części objaśnia jego świeżą przyjaźń z Francyą, zawiera istotnie wiele spostrzeżeń trafnych. Po za tym wszakże punktem nie jest odbiciem rzeczywistości. Nie widzimy bowiem ani pochylania się tronu włoskiego, ani mocnych prądów rewolucyjnych, ani dojrzałych żywiołów republikańskich. Naród stęka pod ciężarem militaryzmu, ale słów buntu nie rzuca i nie śni o ułatwieniu wyjścia papieżowi zapomocą rzeczpospolitej.

Mniej alarmującym, ale także złowróżbnym jest głos drugi — korespondenta *Timesa*, który ogłosił wyczerpujące sprawozdanie o położeniu Włoch. Twierdzi on przedewszystkiem, że program nowego ministeryum nie da się tak łatwo wykonać, jak wielu mniema. W żadnej bowiem gałęzi administracyi niepodobna już dalej posunąć oszczędności. Niedobór bieżący wynosi nie 36, lecz prawie 50 milionów. Wydatki na wojsko i marynarkę stosunkowo do zasobów kraju są stanowczo za wysokie. Jednym z największych błędów jest to, że Włochy zbyt prędko i zbyt wiele budują dróg żelaznych. Za użyty na nie kapitał trzeba płacić 4%, one zaś takich odsetek nie dają. Najzamożniejsza, górnowłoska, po odtrąceniu wydatków i procentu, przynosi 3,26, rzymska 1,41, południowa 1,62, prywatne 1,78. Inne znajdują się jeszcze w gorszem położeniu, a ciągle powstają nowe koleje, niedające żadnego dochodu. Z tak smutnego stanu otwierają się tylko dwie drogi: albo podnieść podatki, albo wystąpić z trójprzymierza i poprzestać na stanowisku mocarstwa drugorzędnego. Zdaniem autora, włosi nie pogodzą się z tą ostatnią myślą, która upokarzałaby ich nadmiernie i groziła pokojowi europejskiemu. Mniema on nadto, że powiększenie podatków nie jest niemożliwe, gdyż bogactwo kraju w ostatnich dwudziestu latach znacznie wzrosło. Tak np. przywóz węgla od r. 1871 do 1888 podniósł się z 794,389 do 3,872,905 tonn, liczba robotników zaś w fabrykach żelaza i stali z 5,732 (1881) do 14,528 (1889) — i tak dalej. Państwo zatem może wynaleźć dla siebie nowe źródła dochodów.

Nie ma sprzeczności w objawach wzrostu bogactwa i nędzy, gdyż dwa te procesy często odbywają się równolegle. Ale chociażby pierwszy z nich rozwinął się znacznie w ostatnich dwudziestu latach, nie usuwa to faktu, że Włochy stoją nad krawędzią bankructwa ekonomicznego. Nie będziemy tu badali, czy i jaką drogą wyratują się one z tego położenia, podkreślamy tylko niewątpliwy dowód ruiny narodu wskutek militaryzmu, ruiny, która stanowi wyłączną zasługę Bismarka. On po wojnach zaborczych wpędził państwa w nadmierne uzbrojenia, on zmusił je do wyczerpywania wszystkich swych sił na olbrzymie armie, on stworzył tę szrubę bez końca, którą ledwie wytrzymują narody bogate, a której ofiarą pada biedny. Włochy są pierwszym wymownym dowodem, do jakiego zniszczenia doprowadziła Europę polityka Bismarka — zuchwała, rozbójnicza, tryumfami uwieńczona, ale bezmyślna, bo bezpłodna a wycieńczająca. Obecne położenie tego kraju stanowi lekcyę poglądową, nieodparty argument przeciw hasłom okresu „krwi i żelaza,“ zapomocą których ten mistrz chciał świat zbawić.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

VI.

Malarze francuscy i Liga patryotów. — Istotne znaczenie haseł odwetu. — Rozwój przemysłu i militaryzmu. — Testament antisemity. — Dzieci naturalne. —

Za „lekcyę patryotyzmu," udzieloną przez Deroulede'a artystom francuskim, „Liga patryotów" dostąpiła nowych zaszczytów i, zdaniem naszem, zupełnie daremnie. O ile z obecnych ich oświadczeń można wnioskować, malarze paryscy w żadnym razie nie przyjęliby udziału w wystawie niemieckiej. Berlin jest stosunkowo złym rynkiem dla fabrykantów obrazów, a ponieważ wkrótce im się uda daleko zyskowniej umieścić swój patryotyzm na innej wystawie, więc zwinęli arcydzieła i częścią pochowali po kątach, częścią zaś wysłali do Abisynii, gdzie odbyt mają wcale dobry. Prasa jednak nie ustaje w hymnach pochwalnych na cześć potomków Apellesa. Bo i któżby się spodziewał znaleźć tyle patryotyzmu — chociażby nawet pod naciskiem—u tych handlarzy malowanych płócien, dla których złoto niema żadnego zapachu i których talent posiada przyrodzoną dążność do pańskich trzosów, jak magnes do północy. W starożytnej Romie każdy patrycyusz miał kilku chłopców uciechy (za czasów Juwenala), którzy oprócz innych pełnili jeszcze funkcye artystyczne: śpiewem, muzyką i deklamacyą przyśpieszali panom trawienie, a w razie potrzeby szeptali im na ucho ustępy z Homera lub filozofów do urozmaicenia rozmowy. I obecni artyści pomimo niezależności i rozczochrania puszczonej na wiatr czupryny stanowią pewnego rodzaju chłopców uciechy, trzymanych przez burżuazyę „dla własnego użytku" i sowicie opłacanych za dogadzanie jej upodobaniom i fantazyom. Ale Liga patryotów może być im bardzo wdzięczna: oni bowiem znowu na nogi ją postawią. Rewizye odbyły się u kilkudziesięciu osób, zabrano trochę papierów, które być może dostarczą wątku do nowego procesu. Urzędowym powodem były manifestacye, urządzone przez zwolenników Derouleda podczas pobytu w Paryżu cesarzowej Fryderykowej. Burżuazya francuska tak się obawia wojny, iż urządza wyprawy nawet przeciw cieniom jakiejś groźby. Z oddalenia może się wydawać, iż hasła odwetu, zwłaszcza popierane przez wzrastający wciąż militaryzm, mają we Francyi jakąś rzeczywistą podstawę. Jest to czyste złudzenie. Alzacya obejmowała w chwili oderwania najbardziej rozwinięte ogniska przemysłowe. To też fabrykanci francuscy wcale przychylnem okiem spoglądali na „poćwiartowanie" ojczyzny, które ich pozbawiło niebezpiecznego współzawodnika przy podboju nierozwiniętych wiejskich rynków kraju. W Anglii istnieje nawet odpowiednia teorya, która twierdzi, iż te kolonie, w których przemysł jest o tyle rozwinięty, że może się obejść bez wytworów angielskich, powinny być odłączone od pnia ojczystego. Teoryę tę przemysłowcy francuscy stosują do Alzacyi, to też nie daremnie lud paryski piętnował imieniem zdrady wszystkie machinacye burżuazyi podczas ostatniej wojny francusko-pruskiej, nie daremnie stawiał „ojca ojczyzny" Thiersa pod zarzutem, iż śpieszył się zawrzeć sromotną ugodę, aby kopalnie węgla w Anzin, których był głównym akcyonaryuszem, pozbyły się współzawodnictwa bardziej rozwiniętych kopalni alzackich. I nadzieje go nie zawiodły, również jak i całej burżuazyi francuskiej — dywidendy podskoczyły od tego czasu w sposób niesłychany. Tajemnica olbrzymich postępów przemysłu, jakie Francya uczyniła w ciągu ostatnich lat dwudziestu, zawiera się w tem właśnie, iż pozbawiony Alzacyi, mógł się swobodnie wzmagać. Zresztą jest to zjawisko nierzadkie, iż w jednem państwie prowincye mniej rozwinięte żądają, jeżeli nie zupełnego oddzielenia, to przynajmniej granic celnych dla bardziej rozwiniętych. Gdyby obecnie przyłączono napowrót Alzacyę do Francyi, oczywiście dywidendy musiałyby koniecznie spaść, gdyż tenże sam rynek zająłby większa ilość wyzyskiwaczy. Przemysłowcy francuscy i obecnie już skarżą się na współzawodnictwo towarów alzackich pomimo olbrzymich ceł, które teraz jeszcze są podnoszone. Cóżby dopiero nastąpiło, gdyby te cła w zupełności znikły? Rynek, zalany zbytnią masą towarów, odpowiedziałby niesłychanem przesileniem, po którem musiałby nastąpić spadek zysków.

Burżuazya francuska nie chce więc i nie może chcieć wojny. Cóż w takim razie oznacza szalenie wzrastający militaryzm? Przyczyny tego zjawiska trzeba szukać nie w patryotyzmie, lecz w wewnętrznych właściwościach gospodarki kapitalistycznej. Wszystkie kapitały zastosowane w przemyśle być nie mogą, gdyż rynek nie mógłby pochłonąć wytworzonych towarów; a ponieważ bogactwa muszą się wciąż procentować, więc burżuazya zapisuje je do wielkiej księgi długów państwowych. Operacyi tej trzeba wszakże nadać jakiś pozór użyteczności w oczach mas, płacących procenty w formie podatków. Otóż najlepszy płaszczyk w danym razie stanowią hasła odwetu. Jest to środek niezawodny, wobec którego lud musi zamknąć usta, a otworzyć kiesę. I militaryzm wzrasta. Jest to zarazem jedyny sposób utrzymania w karności mas, które rozwój przemysłu uczynił „zbytecznemi." I obecne społeczeństwo rozdaje swym proletaryuszom *panem et circenses*, chleb i czerwone spodnie... Wzrost militaryzmu nie oznacza więc ani chęci, ani nawet przygotowywania się do wojny. Jeżeli patryoci francuscy zapewniają was z dumą: „stoimy mocno na stanowiskach," to nie wierzcie im. Oni tylko „śpią mocno na swych stanowiskach," jak właśnie zauważył Clémenceau.

Burżuazya drży przed wojną — nic też dziwnego, iż prześladuje Deroulede'ów. Zuchy te zaś chcą się wykręcić niesmacznym konceptem, iż znak „L. D. P." (Ligue de Patriotes), figurujący na zabranych papierach, przedstawia: Loi, Devoir, Patrie—Liga bowiem została rozwiązaną.

Drumont puścił w obieg nowy pamflet, zatytułowany „Le testament d'un antisemite." Nie zawiera on prawie nic nowego: jest to parafraza poglądów, wyrażonych w poprzednich tomach. Oprócz zwykłej u niego blagi, zwykłych gromów na panujący „liberalno-żydowski" porządek i westchnień gorących do starych dobrych czasów, znajdujemy tu trochę szpilek pod adresem duchowieństwa „fin de siecle," jak Drumont nazywa starszyznę klerykalną. Listy kardynała Lavigerie i innych biskupów pobudziły go do wystąpienia. Zdaniem autora wszyscy członkowie episkopatu, z małymi wyjątkami, składają się ze służalców dbałych tylko o własny spokój, z „prefektów w fioletowych sukniach." Przyczyną jest Konkordat, na mocy którego rząd wybiera biskupów. W miarę tego jak starsi wymierają, mianuje on tylko takich, na których może śmiało liczyć. „W jaki sposób biskupi, którzy wprowadzają w ruch wszelkie możliwe wpływy, aby otrzymać urzędy, którzy wycierają w tym celu wszystkie przedpokoje, którzy błagają o rekomendacye farmazonów i wolnomyślnych deputowanych lub senatorów, mogliby później, zdobywszy miejsca, stawiać opór rządowi?" Oświadczenie kardynała Lavigerie stwierdza tylko fakt powszechny. Dopóki Konkordat istnieć będzie, biskupi, zdaniem Drumonta, pozostaną tem, czem są obecnie: bardzo podatnymi

POJEDYNEK DOWÓDCY

Alberta Delpita.

Zeszłego roku udałem się do Besançon na ślub jednego z moich przyjaciół. Żenił się z młodą dziewczyną, należącą do bardzo lubianej, popularnej niemal rodziny. Obrzęd zaślubin odbył się z niezmierną okazałością. Wieczorem, stosownie do miejscowego zwyczaju, bardzo liczne grono gości zebrało się na weselną ucztę. Upatrywałem właśnie miejsca, naznaczonego mi przy stole, gdy uczułem, że ktoś położył mi rękę na ramieniu; odwróciłem się. Naprzeciwko mnie stał kapitan dragonów, lat może trzydziestu, blondyn, delikatnych rysów.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał.

— Nie.

— Jestem Gustaw Hammer, twój dawny kolega szkolny. Grałem właśnie w kręgle w ogrodzie, gdy przybyłeś po raz pierwszy. Mam cię jeszcze przed oczami: byłeś bardzo blady, a twoje ryże włosy stały ci na głowie zaczesane do góry jak szczotka; błyszczące oczy przy białej zupełnie twarzy dziwne wywierały wrażenie. Zbliżyłeś się do mnie, mówiąc: „daj mi kule." Dałem ci je i staliśmy się przyjaciołmi. Przeżyliśmy razem trzy lata.

Nie spotyka się nigdy bez wzruszenia lubianego niegdyś kolegi szkolnego; życie ucznia, umieszczonego na stancyi, jest prawie tem, czem surowe więzienie. Dawny towarzysz pensyonatu wydaje się towarzyszem więziennej celi. Gustaw Hammer usiadł obok mnie. Jedliśmy obiad z apetytem, opowiadając sobie nawzajem troski i radości. Gustaw był niemal pewny, że przed upływem roku zostanie dowódcą szwadronu. W jego wieku zdarza się to dosyć rzadko. Około północy odprowadził mię pieszo na dworzec kolei i przyrzekł odwiedzić za pierwszą bytnością w Paryżu. Uściśnęliśmy się na pożegnanie. Poczciwy Gustaw! Odmłodził mię o lat dwadzieścia.

Upłynęło wiele długich miesięcy, a ja nic o nim nie słyszałem. Mylę się: w maju wyczytałem w urzędowym dzienniku, że przyjaciel mój został mianowany, jak się tego spodziewał, dowódcą szwadronu strzelców. Posłano go do Maubege, na granicę belgijską, gdzie dowodził jednym z lepszych oddziałów. W końcu sierpnia przechadzałem się jednego wieczoru po Polach Elizejskich. Było to około dziewiątej. Wszystko wokoło mnie zdawało się oddychać ożywczem tchnieniem letniej nocy. Pełno było przechodzących; gawędzono, siedząc na żelaznych krzesełkach przy brzegu ulicy; na prawo znajdowały się kawiarnie, z których dochodziły dźwięki muzyki. Szereg lamp nadawał nieszczęśliwym drzewom barwę cyny. Biedne drzewa! Cóż one zawiniły niebu, że zostały skazane na pokutę tutaj? Widziałem, jak ich wysmukłe gałęzie pochylały się smutnie, podczas gdy zwrotka jakiejś piosenki dźwięczała w powietrzu. Przede mną rozciągały się Pola Elizejskie, a setki latarń rozświecały ciemności, jaśniejąc jak świętojańskie robaczki. Nagle w smudze światła spostrzegłem Gustawa Hammera. Podszedłem do niego, podając mu rękę.

— Dobry wieczór, komendancie — zawołałem. Na honor, jakież miło spotkanie!

— Ah, to ty — odparł smutnym głosem. Bardzo się cieszę, że cię spotykam.

Ton jego głosu uderzył mię. Spojrzałem na niego badawczo. Postarzał bardzo w ciągu tego roku. Twarz mu pobladła, rysy się wydłużyły, na skroniach zaczynały już siwieć włosy. Ująłem go łagodnie pod ramię.

i usłużnymi względem władzy, chciwymi na urzędy dla swych krewnych i namiętnie dbałymi o swój dobrobyt — tylko w skrytości serca żywić będą względem Rzeczpospolitej nienawiść, życząc jej nieszczęść i szybkiego końca.

Przyznajemy chętnie, iż położenie kleru wobec rządu jest poniżające. Ale trudno nie obchodzić się z kimś, jak z lokajem, kto pozwala się opłacać, jak lokaj. Rząd nie będzie mianował biskupów, jeżeli Kościół wyrzeknie się budżetu kultów. Ale o tem p. Drumont słyszeć nawet nie chce. Marx słusznie zauważył, iż Kościół— w Anglii — chętniej by się wyrzekł wszystkich trzydziestu dziewięciu artykułów swej wiary, niż jednej trzydziestej dziewiątej swych dochodów. Drumont wymaga i dochodów i szacunku. Przypomina to tę dziewczynę, która niewinność zachowała i kapitał zebrała.

Gromiąc wyższe duchowieństwo, autor wynosi natomiast pod niebiosy zalety i cnoty niższego kleru, który pozostał nieprzejednany i utrzymuje lud w ciągłej nienawiści ku wszystkiemu, co ma związek z Rzeczpospolitą.

Deputowany Letellier złożył projekt, wymagający, aby dzieci „naturalne," jeżeli ich pochodzenie jest ustalone, miały ten sam udział w dziedzictwie po swych rodzicach i krewnych, co i prawe. Żądanie to, które pod każdym względem i ostatecznie zrównałoby ohydną różnicę, istniejącą obecnie między dziećmi jednego ojca, niema w sobie nic rewolucyjnego. W Paryżu, gdzie trzecia część urodzeń pochodzi ze związków, nieuznanych przez kościół, ani przez mera, wielka granica, oddzielająca legalne od nielegalnych, została zniesioną, a wyraz „bękart" oddawna znikł już z języka uczciwych ludzi. Obrońcy wszakże rodziny z parlamentu odrzucili projekt, obawiając się, iż w razie jego przejścia nie będą mogli już być na legalnem utrzymaniu, bo któraż kobieta chciałaby opłacać mężczyznę, jak to teraz czyni, gdyby bezmyślny przesąd, wymagający zmiany jej nazwiska i kilku ceremonii, dla urodzenia dziecka, nareszcie zanikł? Jeżeli kobieta nie czuje obecnie pogardy dla mężczyzny, któremu oddaje swą miłość i... posag za zaprowadzenie jej do merostwa, to pozbawia się dobrowolnie wielkiej rozkoszy, tej samej, jaką sprawiali sobie greccy filozofowie, będący w niewoli u rzymian, gdy poniżając się przed panem i obsługując go, gardzili nim głęboko w skrytości serca. Byłaby to swego rodzaju cyniczna zemsta — rozkosz bogów — a zarazem zachowanie godności ludzkiej — jakkolwiek wolelibyśmy otwarty protest z jej strony, gdyby przyjmując oficyalnego ciemiężyciela, jakiego jej społeczeństwo narzuca, czuła doń głęboką pogardę. Ale ona biedaczka oddaje mu nietylko siebie i swój majątek, ale zarazem i swój szacunek. Najlepszy niewolnik jest ten, który nie tylko podstawia kark pod baty, ale zarazem liże rękę, która go smaga. Taką tresurę zdobyła kobieta drogą kilkudziesięcio—wiekowej cywilizacyi. Dla tego sądzimy, iż ona by nawet pochwaliła moralistów z parlamentu, którzy nie zgadzają się na zniesienie przesądu i jakkolwiek chcą rodzić nieprawe dzieci, pragną zarazem otrzymywać dobre posagi. Nic dziwnego, iż stoją mocno na straży świętych podstaw rodziny, ku wielkiemu zadowoleniu kobiet. Po długich targach może się jeszcze uda wywalczyć ustępstwo, aby dzieci naturalne otrzymywały z dziedzictwa po rodzicach połowę tej summy, co prawne. W swoim czasie o rezultacie ostatecznym rozpraw doniesiemy.

„Dziennik Urzędowy" ogłosił nadzwyczaj sympatyczne prawo o zmniejszeniu kar dla początkujących przestępców. Prawo mówi, że, jeżeli oskarżony staje przed sądem poraz pierwszy, to sędzia może odroczyć wykonanie przypadającej mu kary. Zostaje ona w zupełności przebaczoną, jeżeli przestępca w ciągu następnych pięciu lat nie popełni żadnego wykroczenia, w przeciwnym razie ma być dodana do tej, którą nowy występek za sobą pociąga.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po długiem, bardzo długiem przymierzaniu się stronnictw w austryackiej Radzie państwa, przyszły one wszystkie do przekonania, że wzajemnie do siebie nie pasują. Każde tedy pozostawiło sobie „swobodną rękę," którą rząd będzie mógł wynajmować „od przypadku do przypadku." Żywy tedy obraz parlamentarny przedstawia się bardzo wyraziście i malowniczo: hr. Taaffe stać będzie na wzniesieniu otoczony gromadą posłów, ofiarujących mu „wolne ręce"; których w danym razie zapotrzebuje, tym włoży zapłatę lub kwitek na nią — i tak wytworzy sobie większość. Tym sposobem składać się ona będzie z najrozmaitszych pierwiastków, to jako klerykalno-liberalno-antisemicka, to jako niemiecko-polsko-szlachecko-demokratyczna itd. Ponieważ zaś w wiedeńskiej Radzie państwa mieści się przeszło dziesięć grup, więc ile kombinacyj może powstać z liczby 10 (a wiadomo, że jest to cyfra olbrzymia), tyle razy zmieni się oblicze parlamentu austryackiego i układ jego większości. Hr. Taaffe będzie miał dużo kłopotu, ale także dużo rozmaitości. Przynajmniej nie znudzi się jednostajnością widoku.

Koło polskie wybrało swym prezesem Apolinarego Jaworskiego, który wielokrotnie porozumiewał się z rządem co do przyszłych stosunków, a wkrótce ma ogłosić rezultat tych narad. Koło nie wejdzie w stały związek i w stałą zależność, lecz zachowa „wolną rękę," którą będzie oddawało hr. Taaffemu w miarę potrzeby i swego interesu.

Pomimo energicznych poszukiwań i ujęcia wielu nici knowań przeciw ks. Ferdynandowi i jego głównemu doradcy, morderey ministra Belczewa nie zostali dotąd odkryci, a przynajmniej schwytani. Śledztwem kieruje sam Stambułow pod osłoną ścisłej tajemnicy.

Ze spraw bułgarskich wypłynęła na wierzch kwestya, której rozwiązanie nie będzie łatwem. Na początku kwietnia upłynął termin mianowania gubernatora Rumelii wschodniej. Porta nie może na tem stanowisku zatwierdzić ks. Ferdynanda i zarazem nie chce wprowadzić innego kandydata z obawy zawikłań. Jak ona przepłynie między tą Scyllą a Charybdą — niepodobna odgadnąć, zważywszy jej lękliwą niestanowczość oraz wielką trudność położenia. Być może, że i ta sprawa zawiśnie w powietrzu bez ostatecznego rozstrzygnięcia aż do czasu, kiedy wszystkie węzły półwyspu Bałkańskiego będą rozplątane.

Z wielkiej chmury Włochy spuszczają teraz na Stany Zjednoczone mały deszcz. Po wymordowaniu ich poddanych w Nowym Orleanie zażądały ukarania winnych i wynagrodzenia pozostałych po nich rodzin, a gdy temu odmówiono, poleciły swemu posłowi wyjechać z Waszyngtonu. Ale ten wybierał się do drogi jakoś bardzo długo i opieszale, tymczasem otrzymał z Rzymu instrukcye łagodniejsze: wymagano tylko postawienia morderców przed sądem, który może ich od wszelkiej odpowiedzialności uwolnić. Na uśmierzenie gniewu Włoch wpłynęło niewątpliwie i to stwierdzone przekonanie, że pomiędzy ofiarami tłumu nowo-orleańskiego byli łotrzy niezwykłego kalibru, którzy dużo nabroili, zanim padli pod mściwemi kulami.

— Chcesz przejść się ze mną trochę?

— Bardzo chętnie.

Zaledwie jednak uszliśmy kilka kroków, dałem pokój rozmowie. Urywał każdą zaczętą gawędkę i zapadał na nowo w zamyślenie, zagłębiając się mimo woli w jakichś bolesnych wspomnieniach.

— Musz jakieś zmartwienie, nieprawdaż? — zapytałem go naraz.

Zadrżał, a po chwili milczenia odparł:

— Tak, zmartwienie... miłosne.

Wahał się. Nie nalegałem. Wiedziałem, że są pewne cierpienia, mające wstydliwość swoją, gdy nagle rzekł.

— Posłuchaj, opowiem ci coś. Jestem waryatem, dręcząc się tak w milczeniu. Ty dasz mi może dobrą radę. Od czasu, jak z tobą się widziałem, niespodziewany dramat zwichnął mi życie. Nie słyszałeś o niczem, dzięki ministrowi wojny dzienniki pokryły milczeniem to zdarzenie. Nie obawiaj się, historya nie będzie długa, a przytem przedmiot ten szczególnie cię zajmie. Jeszcze jedno dziecko więcej padło ofiarą win swoich najbliższych.

Strząsnął popiół z cygara i powoli, jak człowiek, który czyta w swojem sercu, zaczął opowiadanie.

— W czerwcu, zeszłego roku, dwudziestu ośmiu żołnierzy przybyło do Maubege dla odbycia powinności wojskowej. Już od miesiąca dowodziłem szóstym szwadronem strzelców. Jednego dnia, z rana, wyjeżdżałem do Lille z drugim wyższym oficerem tegoż samego pułku. Postanowiliśmy wypić po filiżance bulionu i zjeść parę kotletów w bufecie na stacyi kolei w Maubege. Była to obszerna sala, wzdłuż ścian stały marmurowe stoliki. W samym końcu sali, w pobliżu stolika, przy którym siedzieliśmy, widać było robotników i żołnierzy.

— Czy masz pod swoją komendą syna jakiej znakomitości, odsługującego powinność wojskową? — zapytał mię kolega.

— Tak, mam syna Maryana, malarza, przyjętego właśnie do instytutu. A ty?

— Ja również. Ale ja mam syna osobistości słynnej i z innego zupełnie powodu. Jerzego de Ferisset.

— Syna pięknej pani de Ferisset?

— Tak, jego samego.

Rozśmiałem się, mówiąc:

— Jakto! Ona ma już dużego chłopca w rezerwie! Kochałem się niegdyś w tej kobiecie. Na nieszczęście była wtedy kochanką jednego z moich przyjaciół.

— Ja także byłem w niej zakochany — odparł mój kolega. Nie miałem takiej przeszkody, jaka stanęła tobie na drodze; nie wiem doprawdy sam, czemu jej się nie oświadczyłem.

— Źle zrobiłeś — zauważyłem. Warta była miłostki, mój drogi, przejściowej, kilkodniowej. A przytem mąż jej taki był wygodny. Miała ze dwudziestu kochanków. Pan de Ferisset nigdy się niczego nie domyślał.

Zaledwie dokończyłem rozpoczętego zdania, kiedy w drzwiach poblizkich ujrzałem stojącego młodego strzelca. Był blady jak płótno. Wykonał jakiś ruch pełen wahania i podszedł do mnie, chwiejąc się, cały drżący, wielka jego szabla uderzała go po nogach. Stanąwszy przy moim stoliku, popatrzył na mnie minutę obłąkanym wzrokiem i podniósł do góry dłoń. Zrozumiałem, że zamierza mnie uderzyć. Powstało zaraz wielkie zamieszanie. „Przytrzymajcie tego człowieka!" — krzyknąłem. Paru żołnierzy poskoczyło natychmiast. Mały strzelec stał jak wryty, bez ruchu, patrząc na mnie ciągle.

— To moja matka — wyrzekł tylko bezdźwięcznym głosem.

W jednej chwili zrozumiałem całą niegodziwość moich wyrazów. „Puśćcie go!"— zawołałem.

Co się stało ze mną owego ranka i odkądże to człowiek dobrze wychowany po-

A więc ks. Bismark przyjął kandydaturę do sejmu. Wrogowie kpią, przyjaciele robią kwaśne miny, bo znając gwałtowny jego charakter, spodziewają się gorszących starć w Izbie. Zwłaszcza postępowcy, nienawidzący swego pogromcy z całej duszy, drażnić go będą ustawicznie i wpędzać w awantury, w których łatwiej sobie poradzą z „kolegą,“ niż z wszechwładnym ministrem, miażdżącym ich dawniej nietylko swoją powagą i wymową, ale także regulaminem parlamentarnym, który jemu zapewniał przywileje, a im odbierał prawa. Teraz stanowiska wyrównają się, więc walka będzie łatwiejsza. To też prof. Delbrück, przewidując następstwa, powiada: upadek ks. Bismarka przy wyborach będzie kompromitacyą, zwycięstwo — nieszczęściem.

Układy celne Niemiec z Austryą postępują ciągle i mają do usunięcia tylko przeszkody drugorzędne. Dziś już nie ulega wątpliwości, że umowa przyjdzie do skutku, a jaki ona wywrze wpływ na stosunki polityczne i ekonomiczne Europy — zobaczymy, poznawszy ją.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGIA IDYOTYZMU.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy w idyotach i kretynach widziano jedynie przedstawicieli dawno ubiegłej przeszłości rodu ludzkiego. Dość przypomnieć chociażby teoryę Karola Vogta, wypowiedzianą z powodu małogłowych. Dzisiejszy rozwój nauki antropologicznej zniewolił do odsunięcia tego rodzaju zapatrywań, jako niezupełnie zgodnych z rzeczywistością. Idyoci bowiem są przedewszystkiem okazami chorobliwymi, nienormalnymi, pewnym płodem zwyrodnienia fizycznego, w dalszym zaś ciągu — duchowego. Naturalnie, w tem zwyrodnieniu mogą zjawić się pewne cechy natury atawistycznej, lecz swoją drogą całość jest czemś, czego u przodków dalekich nigdy nie było. Umysłowości idyotów niepodobna porównywać nietylko z umysłowością człowieka pierwotnego, lecz nawet zwierząt: chociaż małpa pod względem duchowym stoi bardzo nizko, przedstawia mimo to ustrój zdrowy, harmonijny. „W żaden sposób — powiada Sollier, autor świeżo wydanej książki *) — nie można badać porównawczo umysłu idyotów ze stanem psychicznym zdrowych niemowląt lub zwierząt, albowiem idyota, nawet jeśli otrzymał jakieś wykształcenie systematyczne, jest istotą nienormalną, która, pod względem duchowym, nie ma równoznacznika w zdrowej drabinie zwierzęcej.“ Z drugiej strony bliższe badania psychiczne wykazały, że idyotyzm jest etykietą, którą przyczepia się na duszy ludzkiej, cierpiącej z najrozmaitszych powodów. Ten sam stan ducha wynika z przyczyn organicznych, bardzo niejednorodnych. I tak Bourneville odróżnia do ośmiu głównych źródeł idyotyzmu: np. obecność wody w mózgu, ogólna małogłowość, niedorozwój zrazów mózgowych lub pojedynczych części, zwyrodnienie suchotnicze itd. Przy bliższem wejrzeniu każdorazowo ukazują się odmienne znamiona duchowe. Wszakże na najniższym szczeblu, bez względu na źródło niemocy umysłowej, objawy w głównym zarysie są jednakowe. Już w niemowlęciu kilkudniowem można spostrzedz pewne cechy charakterystyczne, zapowiadające przyszłego idyotę. Zdolność ssania jest u dziecka niemal bezwiedną odmianą wrodzonego instynktu; tymczasem mały idyota nie umie ssać i przy zwyrodnieniu umysłowem nigdy do tego nie dochodzi. Podobnie już w pierwszych miesiącach wzrok zdradza przyszłą niemoc umysłową. Oko nie posiada zdolności do zatrzymywania się na jakimś przedmiocie, z przyczyny niemożliwości skupienia uwagi na czemkolwiek. Jeżeli teraz przejdziemy do lat dojrzałych, u idyotów bezwzględnych znajdziemy zupełny brak jakiegokolwiek życia umysłowego. Nieraz o własnych siłach nie mogą spełnić nawet najniezbędniejszych czynności zwierzęcych organizmu. Zresztą i u mniej już upośledzonych całe życie zamyka się jedynie w jedzeniu. „Obżarstwo jest cechą powszechną w świecie idyotów najrozmaitszego stopnia. Jest ono nienasycone. Ażeby nabrać o niem wyobrażenia, trzeba być samemu obecnym przy karmieniu tych istot. Chyba niema wstrętniejszych widoków, niż uczty najniższego rzędu idyotów: pełnemi garściami biorą pokarm, rozrzucają go po stole, rozmazują po twarzy i nie gryząc, łykają. Pożerają wszystko z tem samem łakomstwem i zawsze przekładają ilość nad jakość. Podczas spacerów kupują mięso w wędlarniach końskich, gdyż za tę samą kwotę otrzymać tutaj mogą daleko większy kawał. Na widok pokarmu wychodzą ze zwykłej bezwładności, okazują lekkie podniecenie, rzucają się na strawę.“ Lecz jednocześnie spostrzegamy niekiedy to, czego nie widzimy u żadnego normalnego zwierzęcia, mianowicie zupełny brak zmysłu smaku. Wielu idyotów nie odróżnia cukru od goryczy; w Bicetre niektórzy polują na szczury i jedzą surowe, inni na pająki itd. Również inne zmysły są przytępione. Fakty te wykazują, że u idyotów mamy do czynienia nie z atawistycznem wsteczniectwem, lecz ze zwyrodnieniem fizyologicznem. Nadto widzimy w nich podczas zimna szczególną skłonność do śpiączki. Niektórzy na zimę wpadają w pewien stan osłupienia fizycznego i duchowego i przebudzają się dopiero z nastaniem wiosny. Natomiast pod wpływem lekkiego stanu gorączkowego idyoci chwilowo wykazują niezwykłe podniesienie uzdolnień, o które niepodobna było nawet ich podejrzywać. Liczba ślepych pomiędzy nimi jest olbrzymia. Instynkt samozachowawczy znajduje się w zupełnym zaniku. Szkło potłuczone ściskają w ręku; gryząc chleb, kładą palce w ten sposób, iż odcinają je sobie. Popędy płciowe objawiają się późno, przytem odpowiednie organy nigdy nie dochodzą do normalnego rozwoju. Pomiędzy człowiekiem zdrowym a najniższego rzędu idyotą spotykamy cały szereg różnych szczebli. Sollier klasyfikuje je według tego, w jakim stopniu te rozmaite postacie są zdolne do uwagi. W ten sposób odróżnia on idyotów bezwzględnych, którzy jej nie posiadają; względnych, którzy odznaczają się słabością lub trudnością uważania, wreszcie głupców (les imbeciles), których najważniejszym rysem jest niestałość uwagi i ciągła zmienność.

W powyższym szkicu przedewszystkiem mamy do czynienia ze zwyrodnieniem organicznem i tylko wyjątkowo z atawizmem. Lecz atawizm ów, jeśli ukazuje się, przybiera niekiedy nader ciekawe formy. Bourneville np. opisuje dziesięcioletniego malca, idyotę-epileptyka. Dziecko to od urodzenia wydawało bezustannie pewne szczególne krzyki i żadnymi środkami niepodobna było powstrzymać go w tym względzie. Nie umiał wymówić żadnego słowa, prócz „mama,“ ani też zwyczajnie chodzić. Skoro drzwi stały otworem, uciekał. Nie mógł jeść o własnej sile. Natomiast zdolności jego do wdrapywania się przechodziły wszelkie pojęcie—w nich jakby ześrodkowało się całe jego życie. Z nadzwyczajną łatwością włazil na drzewo, a chociaż w zwykłym trybie życia ręce odmawiały mu posłuszeństwa, z chwilą gdy dotknęły się drzewa, odzyskiwały całą zręczność. Mamy więc tutaj, przy zupełnem zwyrodnieniu umysłowem i chorobliwem ukształtowaniu fizycznem, atawizm szczególnych ruchów —

*) Paul Sollier, *Psychologie de l'idiot et de l'imbecile.*

---

zwala sobie mówić źle o kobiecie? Podniosłem się, zdjąłem czapkę i kłaniając się młodemu człowiekowi, rzekłem: „Jestem na pańskie rozkazy.“ Świst lokomotywy rozległ się właśnie w tej chwili. Pociąg do Lille miał odejść. Wybiegłem śpiesznie na platformę i wskoczyłem do wagonu. W pół godziny później poszedłem do generała, dowodzącego korpusem armii i opowiedziałem mu wszystko.

Jak się łatwo możesz domyśleć, nie szczędził mi wymówek. Czyż dowódca szwadronu powinien paplać publicznie z lekkomyślnością niewyrobionego żaka? To była wina ministra: mianował wyższych oficerów w nazbyt młodym wieku.

Myślałem sobie po cichu, że to samo nieszczęście mogłoby mi się również przytrafić, choćbym nawet był kapitanem o lat kilka starszym, niż wówczas. Zbyt jednak zasłużyłem na ostre uwagi generała, abym ośmielił się odpowiedzieć mu choć jednem słowem.

— I cóż zamierzasz pan uczynić teraz?— zapytał mię.

— Ależ generale, zdaje mi się, że nie mam żadnego wyboru. Obraziłem śmiertelnie tego młodego człowieka. Powiedziałem mu, że jestem na jego rozkazy. Będę się z nim pojedynkował.

— Jesteś pan waryatem! Dowódca nie bije się z prostym żołnierzem.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę pana generała, że ustawa wojskowa nie istnieje wobec pewnych obelg. Udziel mi proszę upoważnienia.

— Ależ ja nie mam do tego żadnego prawa.

— To bądź pan łaskaw zatelegrafować do ministra.

— Minister odmówi.

— W takim razie uprzedzę o tem pana Jerzego de Ferisset. Granica znajduje się stąd o dwa kroki; pojedynek odbędzie się w Belgii.

— To znaczy, że zamierzasz pan samowolnie opuścić szeregi.

— Niech i tak będzie, opuszczę samowolnie szeregi. Mogą mnie następnie ukarać. Już raz uchybiłem wobec wymagań honoru, mówiąc publicznie rzeczy, obrażające kobietę; nie chcę zawinić po raz drugi, odmawiając zadośćuczynienia synowi tej kobiety.

Generał uczynił z początku ruch gniewny, ale uspokoił się wkrótce; przeszedł kilka razy tam i napowrót po swoim gabinecie. Nakoniec podszedł do mnie, mówiąc bardzo łagodnie:

— Rób pan, co ci się podoba; przypuśćmy, że nic mi nie powiedziałeś; ja nie wiem o niczem. Nie zapominaj pan tylko, że narażasz się na sąd wojenny.

Świadkowie Jerzego de Ferriset przybyli tego samego dnia wieczorem. Obaj wzięliśmy cywilnych. Za broń wybrano szpady; spotkanie naznaczone zostało na dziewiątą rano dnia następnego, mieliśmy pojedynkować się w F., pogranicznej wiosce belgijskiej.

Nie spałem noc całą; zabrałem się do uporządkowania wszystkich interesów. Byłem zdecydowany nie bronić się wcale wobec biednego chłopca.

Nazajutrz o naznaczonej godzinie przybyliśmy do F. Był to poranek chmurny, zimny i ponury. Deszcz padał. Szliśmy w błocie po kostki. Przed nami szedł Jerzy de Ferisset i jego świadkowie.

Jeden z moich przyjaciół zrobił uwagę Ferissetowi, mówiąc, że powinien był ubrać się po cywilnemu. Przeciwnik mój odparł z prostotą, że ponieważ wtedy, kiedy został obrażony, miał na sobie mundur wojskowy, należy mu się więc zadośćuczynienie jednocześnie jako człowiekowi i jako żołnierzowi. Skinąłem głową. Świadek mój przestał nalegać. Przybyliśmy wreszcie na łąkę przemokłą od deszczu; miejsce by-

wdrapywania się. Zresztą badania nad idyotami przedstawiają dla nauki wielki interes pod wielu względami. Psychologia z trudnością może szukać pomocy w metodzie doświadczalnej i w większości wypadków musi ograniczyć się do czynienia zwykłych spostrzeżeń. Otóż z idyotów sama przyroda poczyniła pewnego rodzaju preparaty psychiczne. Bądź rozłączyła jedne uzdolnienia, bądź te same ułożyła w szczególnych zestawieniach. Studya w tej dziedzinie mogą rzucić sporo światła na niektóre zagadnienia psychologii. Korzystając z faktów, nagromadzonych u Solliera, przyjrzyjmy się z bliska sprawie dziedziczności pewnych uzdolnień, oraz wzajemnej niezależności innych.

Autor z pewnym naciskiem zaznacza fakt, iż można spotkać idyotów, którzy umieją nietylko mówić, ale nawet czytać i niekiedy pisać, tymczasem w żaden sposób nie zdołają się ubrać własnemi siłami. Zwłaszcza uderzają niezwykłe zdolności do muzyki u niektórych. To też Sollier czyni dość niesłuszną uwagę, iż muzyka jest najniższą ze sztuk, jakkolwiek w gruncie rzeczy okoliczność ta jest dowodem zupełnej niezależności uzdolnień muzykalnych od umysłowych. Pewna idyotka zupełna, która dopiero w dziewiątym roku życia zaczęła nieco mówić, posiadała jednocześnie olbrzymie uzdolnienia muzykalne. Zdołała np. odrazu wygrać na fortepianie mniej złożone arye, gdy je chociażby raz usłyszała. W tym wypadku ujawniła się dziedziczność, gdyż owa idyotka była dzieckiem nader uzdolnionych muzyków. Morel przytacza fakt jeszcze jaskrawszy, przynajmniej ze względu na dziedziczność skłonności. Pewien idyota, ujrzawszy bęben, zaczął w niego uderzać i po trzech próbach zdobył potrzebną wprawę, tak iż spełniał w zakładzie odpowiednią czynność — dawania znaku bębnieniem co rano i wieczór. Okazało się, że jego dziad i ojciec byli doboszami pułku, brat zaś objawiał ogromną chęć wstąpienia do wojska tylko po to, ażeby znaleźć się w muzyce pułkowej — przy bębnie. Niektórzy idyoci, lubo nie zdołali nauczyć się mówić, śpiewają wcale dobrze. Jeszcze dziwniejszemi wydają się zdolności do rysunku. Ireland badał dwa takie przypadki, w jednym szło o szczególne uzdolnienie do rysowania i rzeźbienia, w drugim — do budownictwa. Sollier znowu obserwował dziewczynkę sześcioletnią, nieumiejącą ani czytać, ani pisać, co więcej, wykazującą zupełną tępość i nieudolność umysłową, która jednak, zdołała odrysować wszystko, co tylko spostrzegła. Kopiowała np. litery abecadła, lubo nie mogła zamiętać ich nazwy, ani pojąć użytku; odtwarzało między innemi różne sceny, których była świadkiem, lecz zapytywana o znaczeniu odrysowanego obrazu nigdy nie umiała dać wyjaśnienia. Instynkt, lecz nie rozum kierował jej ręką. Podobnie znane są przypadki, pomimo zupełnego idyotctwa, zadziwiającej pamięci dat, wyliczeń lub niezwykłego oryentowania się w przestrzeni. Między innemi warto zaznaczyć istnienie szczególnego rodzaju idyotów — porządku symetrycznego. Manią pewnego idyoty 48 letniego było mieć wszystkiego po parze. Jeżeli zobaczył, że okno jedno stoi otworem, otwierał drugie; jeżeli ktoś dotknął do jego ramienia, zmuszał, aby to samo powtórzono z drugiem. Raz ciężar upadł mu na nogę; podniósł go i upuścił na drugą...

Badania idyotów zasługują na uwagę jeszcze i z innego względu. Społeczeństwo jest zbiorowiskiem najrozmaitszych natur, typów i charakterów. Idyotyzm, sprowadzając, jak widzieliśmy, jedne władze umysłowe do zaniku, rozwijając inne, tem samem umożliwia rozbiór różnych typów zawodowo-emocyonalnych, gdyż przedstawia je jakby w karyturze. Zatrzymajmy się chociażby nad małogłowcami (mikrocefalami) z jednej, a dużogłowcami (makrocefalami) z drugiej strony. Oba te typy przedstawiają pomiędzy sobą wielkie i zasadnicze różnice. U pierwszych widzimy na normalnej pod względem rozmiarów twarzy osadzoną nader małej objętości czaszkę; pod względem duchowym są nader ruchliwi, drażliwi, kochają i nienawidzą bez powodów, uciekają się do wymownej mimiki w potrzebie, lubią dużo mówić, a jeśli nie umieją, powtarzają tę samę sylabę. Wogóle mają w ruchach coś małpiego. Tymczasem wielkogłowcy są zgoła odmiennego chakteru. Bezwładność ich i apatya uderzają odrazu — w ruchach, senności, małomówności, przygasłym wzroku. Nie są grubiańscy, jak małogłowcy, twarz ich nie znamionuje dzikości: jest niepomiernie mała w porównaniu z czaszką. W przeciwieństwie do małogłowców są bojaźliwi, ostrożni, mało wrażliwi, niezmysłowi i nieciekawi. Otóż tę różnicę dwu typów możnaby wyśledzić dalej, wśród społeczeństwa normalnego. Nie uczynimy jednakże tego i zrobimy jedną uwagę. Krótkogłowcy, którzy budową czaszki najbardziej przypominają wielkogłowca, posiadają też, chociaż w stopniu nadzwyczaj złagodzonym, niektóre jego rysy: bierność charakteru, duch rutyniczny w mowie.

Powyżej przytoczono klasyfikacyę Solliera według wzrostu uwagi, do której jest zdolna dana jednostka. Otóż nasuwa się jeszcze jedno pytanie, mianowicie, jak oddziaływa stopniowy wzrost inteligencyi na popędy moralne osobników. W tej mierze Sollier daje odpowiedź wcale niedwuznaczną. Mianowicie wykazuje on, że idyoci są istotami, znajdującemi się po za społeczeństwem i tem samem nie mogą mu szkodzić. Wraz z brakiem życia umysłowego są oni pozbawieni z jednej strony zdolności i umiejętności ruchu, z drugiej zaś siły popędów. Nauczeni pewnych systematycznych poruszeń, potrzebnych w rzemiośle, są pracowici i usiłują wykonać powierzoną robotę. Tymczasem w miarę wzrostu inteligencyi zwyrodnienie fizyczne również maleje. Mięśnie zyskują siłę i zręczność, organizm staje się zdolnym do czynu. Lecz zwyrodnienie fizyologiczne i idące w parze z niem wykoszlawienie popędów i żądz, lubo są zmniejszone, jednakże istnieją; co więcej, są teraz obsługiwane przez silniejszą wolę, normalniejszy organizm i posuniętą nieco umysłowość. Półidyota zatem występuje już jako typ antispołeczny, stanowi cząstkę różnych wydziedziczonych odłamów: żebractwa, włóczęgowstwa, wrodzonego zbrodnictwa.

Psychologia idyotyzmu posiada nader obfity materyał faktyczny. Książkę zdobi kilka tablic, przedstawiających duszę idyotów w zakresie sztuki pisarskiej lub rysunkowej. Na jednej widzimy wypisane litery: *a*, *m*, *n*, *u*, *o* i inne. Idyota naśladuje je i zwolna zamienia wszystko na *c*. Gdzieniedziej czytamy list; autorowi nagle przypada do gustu jakieś słowo np. *ses* i powtarza je z rzędu kilkadziesiąt razy.

k—t.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Z. R. Walczewski. *Społeczeństwo rodowe*. Kraków.

Z przyjemnością witamy myśl szczęśliwą, którą powziął p. Walczewski, popularyzując w przystępnej formie zdobycze nauki o pierwotnem społeczeństwie. Stanowisko autora skreślimy własnemi jego słowami. „Człowiek, zrosły z pewnem miej-

ło nad wyraz nieodpowiednie, niepodobna było wszakże szukać lepszego, bo czas naglił bardzo.

Był to istotnie ciekawy widok. Z jednej strony oficer wyższej rangi w zwykłym uniformie, z drugiej prosty żołnierz pułku strzelców. Postawiono nas wreszcie naprzeciwko siebie. Nagle do Ferisset odezwał się wzruszonym głosem, salutując mi po wojskowemu:

— Panie komendancie, chciałem uderzyć cię w twarz. Byliśmy obaj w mundurach. Uchybiłem więc bardzo względem karności wojskowej, karność zaś wojskowa jest konieczną, dziś więcej, niż kiedykolwiek... Przyjmij więc przeproszenie żołnierza. A teraz baczność, komendancie!

Zmierzono broń, jeden z moich świadków zawołał:

— Naprzód panowie!

Nie ruszyłem się z miejsca. Patrzyłem na mojego przeciwnika. Spostrzegłem w jego oczach tę samą iskrę, co wczoraj, a potem to samo chwilowe wahanie. Nagle podszedł o dwa kroki i stanął. Uśmiechnął się, był to jednak uśmiech rozdzierający serce. Choćbym żył sto lat jeszcze, nie zapomnę tego uśmiechu! Naraz, niespodzianym zupełnie ruchem, z błyskawiczną szybkością i siłą rzucił się na moją szpadę, przebijając się na śmierć. Wydał krzyk i padł na wznak, różowa piana ukazała się na bladych jego wargach. Ostatni dreszcz, ostatni jęk, później już nic. Gdyśmy go podnieśli — nie żył.

. . . .

Słuchałem ze ściśniętem sercem. Gdy Gustaw Hammer skończył, odetchnął głęboko, a po chwili wyrzekł głuchym głosem:

— Wiem dobrze o tem, że nie miałem zamiaru się bronić, że on zabił się dobrowolnie, że karyera moja została wskutek tego zwichniętą, musiałem bowiem wyjść z wojska. I cóż stąd mój, drogi; niemniej doznaję takich wyrzutów, jak gdybym był istotnie mordercą. Zdaje mi się, że popełniłem zbrodnię. Pomyśl tylko, taki szlachetny chłopiec, zabity w kwiecie młodych lat! Pomyśl tylko o tej matce, która zapewne rozpacza, opłakując syna, zabitego przecież głównie z jej winy!

Godzina minęła, koncerty się skończyły, kawiarnie wypróżniały się zwolna. Coraz więcej przybywało spacerujących; niektórzy nucili z cicha zwrotki przebrzmiałych przed chwilą piosnek.

Dziwna sprzeczność! Dźwięki znanych operetkowych zwrotek, mieszające się z opowiadaniem ponurego dramatu! Gustaw Hammer pochylił znowu głowę, przygnębiony ponurym ciężarem bolesnego wspomnienia. Pola Elizejskie zaludniały się coraz więcej. Wszędzie tętniało życie właściwe wieczorom letnim w tym Paryżu pełnym rozkoszy i wesela. Mnóstwo pojazdów przesuwało się, zdążając do lasku albo powracając stamtąd. Obok nas na żelaznych krzesłach pełno było osób. Przypatrując się, spostrzegłem kobietę, lat czterdziestu trzech lub czterech, bardzo piękną jeszcze. Znajdowała się wpośród świetnego otoczenia. Strój miała czarny, lecz bardzo wytworny.

Rozpromieniona uśmiechem, wciągała w siebie woń olbrzymiego bukietu fijołków, słuchając młodego człowieka, który mówił coś do niej po cichu.

— Oh, nikczemna! — zawołałem.

— Co ci jest?

Wyciągnąłem rękę i powiedziałem, wskazując na tę kobietę:

— Patrz, oto właśnie matka!

A kiedy on zrobił ruch pełen wstrętu i oburzenia, dodałem potrząsając głową:

— Nie zwracaj na to uwagi. Czy widzisz teraz? Ha! To życie!..

Tłom. *Zofia Lipska.*

scem, zapatrzony w swoje czasy, niemający możności rozejrzeć się po szerszym widnokręgu, nabiera przekonania, że wszystko, co go otacza, takiem pozostaje od początku świata. Jeżeli ma nawet pewne pojęcie o zmianach, zachodzących w świecie, to w każdym razie nie wyobraża sobie, że zmianom tym podlega wszystko... Najważniejsze urządzenia ludzkie, jak rząd, rodzina, własność, niegdyś albo wcale nie istniały, albo też różniły się zupełnie od dzisiejszych. Dzisiejsze również muszą zmieniać się tak samo, jak te, które je poprzedzały, muszą upaść, aby ustąpić miejsca nowym. Po kolei upadały różne porządki społeczne, stare ustępowały miejsca nowym. Za każdym razem, gdy wynalazki ludzkie rozszerzały produkcyę, wyrastały nowe potrzeby i dążności społeczne, które nie mogły już pomieścić się w istniejącym porządku społecznym, więc rozpierały go i niszczyły, stwarzając natomiast nowy, odpowiedniejszy dla siebie. W miarę postępowania ludzkości naprzód, przemiany społeczne odbywają się coraz prędzej."

Autor zatrzymuje się nad społeczeństwem rodowem. Wykazuje on bezsilność człowieka pierwotnego wobec przyrody i konieczność wiązania się w gromady, ukształtowanie pierwotnej rodziny i wyklucie się społeczeństwa rodowego z okresu niższego barbarzyństwa. W dalszym ciągu z niezdarności pierwszych narzędzi wyprowadza niezbędność wspólnej pracy zrzeszonej i — co za tem idzie — wspólnej własności. Z taką własnością i pracą łączą się ściśle różne zwyczaje i pojęcia moralne społeczeństwa, noszące na sobie piętno głębokiej solidarności i braterstwa. Wreszcie, jako uzupełnienie wykładu, p. Walczewski kreśli organizacyę polityczną społeczeństwa pierwotnego i wykazuje niemożliwość istnienia klas społecznych w okresie komunizmu archaicznego.

Wspomnieliśmy już, że książeczka ma na widoku cele popularyzacyjne. To też mamy tutaj przedewszystkiem spopularyzowanie poglądów kierunku, że tak rzekę, Morganowskiego, z dorzuceniem garstki faktów z epoki osiadło komunistycznej. Jeżeli spotkać można jakieś większe niescisłości (np. o ujemnym wpływie związków kazirodczych i znaczeniu tego czynnika dla rozwoju wyższych form rodziny), są to przedewszystkiem wady samego źródła, z którego autor broszurki czerpał. Zresztą z zadania swego p. Walczewski wywiązał się bardzo dobrze. Książeczkę jego nawet słabo wykształcony człowiek przeczyta z zupełną łatwością i sądzimy — z wielkiem zainteresowaniem. Liczne przykłady uzmysławiają przebieg bardziej oderwanych wywodów. Życzymy szczerze powodzenia *Społeczeństwu rodowemu* oraz pragnęlibyśmy jaknajrychlejszego ukazania się podobnych popularyzacyj. Należałoby tylko pragnąć, aby nie sama treść, lecz i cena podobnych wydawnictw była możliwie przystępna.

Lud. Krz.

LITERATURA NIEMIECKA.

4 kwietnia.

Kontrast Niemiec północnych a południowych w literaturze. — „Quitt" Fontanego. — „Der Weltfahrer," nowa powieść W. Kirchbacha.

Teodor Fontane, jedyny ze starszego pokolenia powieściopisarzów niemieckich, który cieszy się uznaniem „młodych Niemiec," ogłosił nowy utwór p. t. „Quitt." Powieść ta spowodowała spór w czasopismach literackich, który uwydatnił sprzeczność, zachodzącą między Niemcami północnymi a południowymi. Zapoznajmy się przedewszystkiem z treścią nowego utworu. Fontane wprowadza dwie postacie, między któremi tli się oddawna zarzewie nienawiści. Dzielny a dumny i porywczy Meng służył w armii pod niejakim Opitzem, człowiekiem surowym i zarozumiałym. Los zrządza, że Meng, obrawszy zawód leśniczego, dostaje się znowu pod rozkazy dawnego zwierzchnika. Znowu w piersi podwładnego gromadzi się gorycz, a pewnej nocy, rozdrażniony niesprawiedliwością Opitza, zabija go gdzieś w górach. Zanim morderstwo odkryto, Meng zdołał uciec do Ameryki. Sumienie dręczy mordercę, lecz mimoto nie traci on energii i wkrótce zdobywa majątek, lecz zubożawszy ponownie, dostaje się do gminy menonitów, gdzie pracą i pokorą wywalcza sobie równowagę. Już znowu pokój i szczęście uśmiechać mu się zaczynają: ma poślubić piękną Rut, córkę kaznodziei. Lecz wybierając się z pomocą dla brata jej, z którym żyje w przyjaźni, ginie, podobnie jak zginął Opitz z jego ręki — „kwita."

Polemika, dotycząca tej powieści, wyszła nie z jej wątku, lecz ze sposobu opowiadania. Podczas gdy jedni zachwycają się zwięzłością stylu Fontanego, pozornym jego chłodem, bystrem zestawieniem obserwacyj, z których tworzą się obrazy plastyczne, inni zarzucają mu, iż jest prusakiem literackim. Stosują oni do autora słowa zawarte w jego powieści: „Ze wszystkich książek niemieckich, a zwłaszcza ze wszystkich książek pruskich, z tych nawet, które nie zajmują się polityką, wieje duch królewsko-pruski, uprzywilejowane powietrze; nawet w najbardziej postępowych jest coś średniowiecznego, a o równości ludzi lub nawet o wychowaniu człowieka w ideałach swobody, nie zaś w poddaństwie i żołnierstwie, niema mowy." Ową służalczość pruską, ową lakoniczność i trzeźwość wojskową widzą krytycy również w utworze Fontanego, a realizm przezeń reprezentowany zowią uosobieniem prusactwa w literaturze. Ostrzegają młode pokolenie przed tym duchem, który łamie polot wyobraźni, dopuszczając jeno obserwacyę życia codziennego. Fontane unika przedstawienia scen uczuciowych, chociaż one wypływają z osnowy i sądzi, iż jest najwymowniejszym, milcząc. Wszystkie te zarzuty są poniekąd sprawiedliwe, a może i charakterystyka umysłu Fontanego jest trafna; lecz nie można odmówić jego utworom tej wielkiej zalety, iż akcyę żywą i niezwykłą łączy ze ścisłem prawdopodobieństwem.

Weźmy natomiast do ręki pracę jednego z najwybitniejszych przedstawicieli szkoły południowo-niemieckiej, Wolfganga Kirchbacha; znajdziemy w niej obok uczucia i wybujałej wyobraźni nieprawdopodobieństwa, zniechęcające czytelnika najpobłażliwszego. „Der Weltfahrer" ma być powieścią na wskroś nowoczesną według intencyi autora: postacie jej wzorowane na modelach żywych, akcya obejmuje sprawy bieżące. A jednak! Posłuchajmy treści. Ów podróżny, zwiedzający świat cały, to młody przyrodnik, Henryk Hochstein, goniący za widmem naukowem. Odkrył mikroba, wyraźnie okazującego przejście z życia roślinnego do zwierzęcego. Lecz zanim odkrycie swe ogłosi, pragnie poprzeć je okazami bardziej jeszcze przekonywującymi. Profesor wszechnicy, w którego laboratoryum pracuje zawiadamia go, że w lasach brazylijskich, znaleziono mikrob bardziej jeszcze „przejściowy." Hochstein, nie długo się namyślając, jedzie do Brazylii. Daremnie szuka tam owego stworzonka: profesor usunął go tą zmyśloną wiadomością, aby zabezpieczyć innemu katedrę, do której słuszne rościł sobie pretensye Hochstein. Nie wiemy, czy podziwiać mamy bardziej bystrość Hochsteina jako człowieka, czy jako przyrodnika. Nie znalazłszy owego mikroba w Brazylii, jedzie za nim do Japonii; lecz i stamtąd wraca bez rezultatu. Ba, cóż go to obchodzi? Przecie pozostawił w laboratoryum preparat, który zapewnić mu musi rozgłos europejski. Preparat ten chce on okazać na kongresie przyrodników: z zajęciem wysłuchano jego wykładu; lecz kiedy w powiększeniu przenosi swój okaz na płaszczyznę oświetloną — grzmiący śmiech wstrząsa salą: zamiast bowiem owego mikroba występują znane powszechnie bakterye, które wyloniły się z preparatu i pożarły go.

Hochstein jest tedy całkowitym bankrutem naukowym: lecz przed rozpaczą chroni go miłość kobiety, która poprzednio go opuściła, a obecnie sama doń wraca. Dzieje tej miłości są równie fantastyczne jak podróż Hochsteina. Ewa rozeszła się z Henrykiem, gdyż raził ją naukowy jego pogląd na świat. Jest ona zbyt poetycko usposobiona, by wyjść za darwinistę. W liście pożegnalnym podaje mu jako powód zerwania, że pozbawił ją wiary w słodkie, miłe jej kwiaty...

Równie niezrozumiałem, jak opuszczenie narzeczonego, jest nawrócenie się Ewy: gdyby Kirchbach wytłomaczył je współczuciem i litością dla nieszczęśliwego Hochsteina, pojęlibyśmy je. Lecz Ewa nie czuje litości dla byłego kochanka: siedząc w loży, śmieje się wraz z innymi, a mimo to czuje w tej chwili, że kocha go jako człowieka.

Przeciwnikiem Hochsteina jest niejaki dr. Streicher, przedstawiciel frazesu naukowego. Cynizm swój moralny ukrywa on po za filozofią przyrody, przykrojoną odpowiednio do potrzeb jego. Poglądy te wszczepił nawet swej żonie, która dzięki temu znosi pożycie jego z innemi kobietami, a nawet gotowa usunąć się, kiedy Streicher poślubić chce piękną tancerkę. Lecz podczas nocy ślubnej wybucha uczucie długo tłumione sofizmatami: Streicher ginie z ręki obrażonej małżonki. Typ ten istotnie wzięty jest z życia, podobnie jak postać młodego poety Conrada Hermana, autora „Pieśni grzechu"; Kirchbach przedstawił w niej zmarłego autora Hermana Conradiego, który ogłosił „Pieśni grzesznika." Sposób, w jaki powieściopisarz drezdeński pojmuje i traktuje współczesne sprawy naukowe, najlepiej objawia się w trzecim rozdziale trzeciej księgi, zatytułowanym „Ein Mikrobenroman." Henryk bił się ze Streicherem w lesie, a ziemia przesiąkła krwią jego. Z krwi tej powstają bakterye, które walczą z mikrobami żyjącemi w ziemi leśnej i pokonywają autochtonów. Oto, jak bacyle wchodzą do literatury niemieckiej.

Ladawa.

SIELANKA MAŁOMIESZCZAŃSKA.

Gawalewicz Maryan, *Drugie pokolenie.*

Mamy przed sobą powieść, która lubo nie odznacza się ani realistyczną wyrazistością obrazowania, ani subtelną analizą stanów duchowych — zasługuje wszakże na bliższą uwagę z powodu swej treści i tendencyi — wysoce charakterystycznych.

Autor przenosi nas w świat przemysłowy i na tle stopniowego rozwoju małego kapitału usiłuje odtworzyć różnice umysłowe i moralne dwu pokoleń tej samej rodziny fabrykanta, różnice, zależne od zmieniających się warunków otoczenia, w którem one kolejno działały. Stary Fatt — to typ małego kapitalisty, którego warsztat rzemieślniczy śród przyjaznych warunków rynku wyrósł na fabrykę, obsługiwaną przez parę. „Kiedy rozpoczynał swój zawód, miał głowę i dziesięć palców do roboty. To mu wystarczało do zrobienia majątku." Do tych zalet osobistych dorobkiewicza-kapilisty rzeczywistość dodaje jeszcze inny, niezbędny czynnik, zwykle obecny w sprawie „robienia majątku" — najemną siłę roboczą, która, w szczególnych warunkach społecznych, posiada tę właściwość, że wydziela z siebie nadwartość — nadpracę niezapła-

coną, co można porównać do odkładania się tłuszczu ze skórą. Ale ta geneza kapitału jest p. Gawalewiczowi obcą — on zna inną, cudowniejszą: oszczędność. Stary Fatt stworzył swój majątek, jak Pan Bóg świat: „z niczego — energią tylko, wolą i pracą ciężką a uczciwą.“

Niejeden Fatt w tak „boski“ sposób zgrubiał, takich, którym się „poszczęściło,“ była cała „paczka.“ „Trafili na dobrą chwilę. Wielki przemysł dopiero się dźwigał, rozrastał, miejsca starczyło dla wszystkich. Interesy szły wybornie, pieniądze spadały jak deszcz, obstalunkom trudno było nadążyć i jakoś fortuna rosła. Niejeden rozpoczynał w małym kramiku, przy którym od tyłu z żoną mieszkał, a po kilkunastu latach zajmował połowę domku na magazyny i pracownie. Inny miał warsztacik, w którym razem był głównym czeladnikiem, majstrem, terminatorem, a potem zatrudniał kilkaset ludzi w dużej fabryczce.“ Jakkolwiek ten obraz zewnętrznych (rynkowych) warunków wzrastania kapitału uderza niezaprzeczoną prawdą, tych właśnie „kilkaset ludzi,“ starannie ukrytych przez p. G. pod płaszczykiem naiwności małomieszczańskiej, w wielkie podaje podejrzenie cudowne samorodztwo fortuny starego Fatta.

Odpowiednio do natury i rozmiarów swojej produkcyi kształtowały się i wyobrażenia, skala potrzeb duchowych i materyalnych — słowem, upodobania życiowe i wymagania starego Fatta. Porównywając w myśli siebie ze starszym synem (Karolem), „musiał przyznać, że nigdy tak nie wyglądał,“ tj. nie był tak dorodnym mężczyzną, o kształtnych, regularnych rysach, „w których przebijał pewien odcień chłodu i wyniosłości, jakiej nabywają ludzie przeświadczeni o swojej wyższości umysłowej“ i — dodajmy— przewadze majątkowej nad innymi. Nigdy nie posiadał „ani tej ujmującej postawy, ani tych wytwornych manier, ani razu w życiu nie miał nawet tak skrojonego surduta i z tak cienkiego sukna na sobie, jak syn.“ „Z gorzkim uśmiechem przypomniał sobie, jak w sklepie naczyń żelaznych, gwoździ i drutów Szymona Knappe i Sp. praktykował, w lecie biegał z odparzonemi nogami, w ciężkich, twardych butach z podkówką, aby obcasów zanadto nie ścinać, a w zimie odmrożone palce miał co roku od dotykania zimnego żelaza, które z magazynu dźwigać musiał do sklepu. Lakierowanych bucików z jedwabnemi kokardami nie nosił nigdy w życiu, bo za młodu nie miał za co kupić, a później na stare obolałe nogi nie byłby ich włożył za nic w świecie — tak mu dokuczały odciski... A ten obszerny, oliwkowy surdut z aksamitnym kołnierzem, z pod którego wyglądał czarny atlasowy halsztuch!... niezdarty surdut starego kroju, w którym lata chodził w świątek i piątek, z wysokim stanem, z szeroką spódnicą, z pod której w lecie najczęściej żółte nankinowe, a w zimie szaraczkowe wyglądały spodnie!“

Nie przychodziło mu do głowy nawet stroić się — czasu nie miał na to. Musiał z zaparciem się początkującego użytkownika najemnej siły roboczej — ciułać dla potomstwa kapitał. Był to ciężki okres pierwotnego gromadzenia zasobu, które bywa pełne drobiazgowej krzątaniny dla drobnowarsztatowego rzemieślnika (majstra) i stosunkowo uczciwszemu — o ile nie dokonywa się pod naciskiem wielkiego kapitału— w produkcyi, niżeli w dziedzinie wymiany — w rzemiośle, niżeli w handlu.

Młodszy syn Fatta, Krysztof — to także z pojęć, z dążności moralnych zacna dusza małomieszczanina. „Krępy, tęgo zbudowany, wyćwiczony gimnastyką i fechtunkiem, podnosił ciężkie młoty i żelazne sztaby z siłą młodego atlety; największą przyjemność sprawiało mu stawać na amatora przy kowadle i na wyścigi z robotnikami walić młotem w rozpalone żelazo, rozpryskujące snopy iskier z rozmachem wesołego cyklopa.“ Od najwcześniejszych lat włóczył się po wszystkich zakątkach fabryki, miał ulubionych przyjaciół pomiędzy robotnikami i oddychał chętnie atmosferą przesiąkłą dymem, opiłkami żelaza, wyziewami węgla, opalonej ziemi i dymu w giserni, niżeli brat jego w uroczym buduarze swojej żony. Przytem, gdy brat pnie się do świata baronów i hrabiów, prowadzi pokątne w tajemnicy przed żoną miłostki z aktorką (Wilą Suczkowską), histeryczną i zwyrodniałą istotą, na którą hojnie szafuje z głębokiej krynicy „oszczędzającego“ kapitalisty, Krzyś zdradza upodobania człowieka niezepsutego jeszcze przez kulturę wielkomieszczańską— jest sobie zdrowym małomieszczaninem, obdarzonym zdrowymi popędami i smakiem demokraty, to jest, w danym razie, początkującego kapitalisty — woli miłość i następnie związek dozgonny z córką inkasenta firmy Fatta.

Przejdźmy teraz do głównego bohatera powieści, do starszego syna Fatta, Karola. Jest on przedstawicielem wielkiego kapitału, kierownikiem wielkiego, szeroko rozgałęzionego przedsiębiorstwa, człowiekiem „robiącym miliony.“ Inne warunki zewnętrzne, inne wyobrażenia. Odmienność jego pojęć najlepiej charakteryzuje rozmowa z ojcem, którą miał po samobójstwie przyjaciela bankruta. Upominany przez starego Fatta za nadużywanie kredytu i zapędy spekulacyjne, wykazuje mu niezodzowność takiego postępowania w tegoczesnej produkcyi.

Trudno — powiada — minęły czasy, kiedy kilkadziesiąt lat pracowało się na majątek i postępowało krok za krokiem, *langsam weiter*. To dobre było dawniej, ale nie dziś, kiedy można fortunę potroić jedną dobrą spekulacyą. Ojciec myśli, że świat stoi na tem samem miejscu, na którem ojciec swój zawód rozpoczynał?.. Śmiej się ojciec z tego!.. Kiep ten, który z czasu nie korzysta i pozwala się prześcignąć innym. Kto chce mieć miliony, musi szybko zbierać.

— Dla czego zaraz chcieć milionów? — pyta małomieszczanin.

— Otóż to wasz staroświecki system!.. odpowiada ironicznie wielkomieszczanin — wyście sobie ciułali po groszu i to wam wystarczało — nam nie. Niema głupich!.. Warto by było harować, trudzić się, głowę sobie łamać dla jakichś tam kilkudziesięciu tysięcy przybytku. To dobre było przed pięćdziesięciu laty, kiedy ludzie jeździli dyliżansem, nie koleją żelazną, chodzili dziesięć lat w jednym surducie, palili knaster i pili piwo. Dzisiaj inne potrzeby, inne środki, inne wymagania... Świat dziś zna inny system do hodowania jaknajwcześniej i najobfitszych owoców — system forsowania... Trzeba iść siłą pary!

— Na złamanie karku? — pyta stary małomieszczanin, niepojmujący dążności, ani szerokich widoków wielkiego kapitalizmu.

Pan Gawalewicz tego też nie pojmuje: usiłuje ogarnąć właściwy związek zjawisk społecznych, chwilami jest bliskim zrozumienia go, to znów gubi się w labiryncie, do którego zabrnął, nie wziąwszy z sobą przewodniej nici kłębka Aryadny nowoczesnej — nauki niefałszowanej. Widnokrąg przesłania mu co chwila mgła pojęć drobnomieszczańskich: zrozumieć tylko może starego Fatta, jego młodszego syna i wogóle pragnienia małej produkcyi. Ktoś by sądził, że to niefortunny wysiłek rozgmatwania zawiłych stosunków dzisiejszego życia każe mu mścić się na osobie Karola i poniewierać ją przez obranie jej ze wszystkich cnót mieszczańskich i ludzkich.

Ale przyczyna tego przedstawienia rzeczy leży gdzieindziej — w feudalno-patryarchalnych ideałach p. G. Zdradza się on z nimi na każdym kroku, najwyraźniej zaś przy końcu powieści, kiedy niezmiernie miękkim, zmaczanym w cieple własnego serca pędzlem maluje obraz dźwigania fabryki z ruiną bankructwa. W czasie gdy stary Fatt, przemagając bóle nóg podagrycznych, zajęty jest w kantorze fabryki likwidacyą interesów bankruta-syna, zjawia się delegacya od robotników i zanosi następującą prośbę:

— Oto powiadają — rzekł jeden — że pono fabryka ma być zwinięta, czy coś takiego; więc z przeproszeniem pana dyrektora, myśmy tak uradzili między sobą, aby gdyby coś do czegoś dojść miało, to niby... na ten przykład... my chcemy robić za połowę „lonu,“ żeby tylko robić, a nie rozchodzić się. Bo to zawsze jest nas takich spora gromadka, cośmy od maleńkości pracowali i jużby się chciało zostać aż do śmierci na jednem miejscu. A że tam, z przeproszeniem pana dyrektora, coś jest nie *rychtyk*, czy coś takiego... zawsze to ciężkie czasy; no, to już niech tam bieda dla nas wszystkich wspólna.

Zaiste rozrzewniająca sielanka! Ale za tę rozczulającą miłość chrześciańską rzeczywistość chyba z wielkiem zastrzeżeniem mogłaby wziąć na siebie odpowiedzialność. Tak samo mało ona ma do czynienia z takim typem, jak młodszy Fatt, Krzysztof— syn właściciela dużej fabryki! On wraz z ojcem dla tego są postaciami opromienionemi blaskiem wszelkich cnót, że służą za kołki, na których autor zawiesza swoje ideały społeczne. Na czemże polegają te jego ideały? Wyżej przytoczona przemowa zawiera najciekawszą cząstkę. Dalej — przeświecają one z opisu uroczystości rodzinnej domu Fattów.

Zyg. Piet.

DZIEJOPISARSTWO SZTUKI.

Nie mija prawie miesiąc, w którymby nie pojawiła się nowa publikacya z dziedziny historyi sztuki na niemieckim rynku literackim. Są to jednak po większej części monografie, z któremi zapoznawać się może jeno specyalista. Dla szerszych kół zajmujące są prace poglądowe ogólniejszej natury i takich nie brak, a dzieło, na które poniżej zwrócimy uwagę czytelników *Prawdy*, pożądane będzie niezawodnie dla wielu. Zanim jednak przystąpimy do sprawozdania z *Historyi sztuki nowoczesnej*, powiemy parę słów o ogólnym ruchu literackim na tem polu. Od czasów Kuglera i Schnaasego dziejopisarstwo sztuki w Niemczech rozwija się w dwóch odrębnych gałęziach, uzupełniających się wzajemnie: badacze gruntowni, bądź to archeologowie, bądź znawcy sztuki nowoczesnej, wydobywają niejako złote bryły wiedzy z pomników, bibliotek i zbiorów, oraz z literatury współczesnej; inni znowu pisarze przerabiają ten materyał w poglądach ogólniejszych. Tamci znani są szczupłemu tylko gronu uczonych; ci korzystają z prac dokonanych i cieszą się sławą. Najlepiej ilustruje stosunek ten przykład Brunna i Overbecka. Brunn, człowiek o ogromnej wiedzy i niezmordowanej pracy, stworzył w dziele p. t. „Griechische Künstler“ historyę plastyki i malarstwa greckiego; Overbeck zaś, używszy całego materyału, zebranego przez Brunna, w swej „Historyi plastyki greckiej,“ uchodzi za najsłynniejszego historyka tej dziedziny. Dzieło Brunna i podobne mu są suche, ściśle naukowe, ciężkie, drukowane licho i bez ilustracyj. Natomiast dzieło Overbecka zaopatrzone w pyszne ilustracye, wykwintnie wydane, zdobi bibliotekę każdego zamożnego miłośnika literatury i sztuki. Łatwo zrozumieć, że skutkiem tego między archeologami a historykami panuje nienawiść i pogarda, a od czasu do czasu uczeni ściśli starają się zabić któregoś ze stylistów w opinii publicznej. Taki to „sąd ostateczny“ nastał obecnie na

najsłynniejszego ze współczesnych historyków sztuki, Wilhelma Lübkego. Kto nie jest archeologiem i nie obawia się być pozbawionym zasłużonej sławy, nie czuje do niego niechęci, owszem czuć musi dla niego uznanie i wdzięczność. Lübke jest autorem znakomitego w swym rodzaju dzieła p. t. „Grundriss der Kunstgeschichte,“ któremu większość ludzi inteligentnych zawdzięcza swą wiedzę w tym kierunku; napisał on, prócz prac specyalnych, znaną powszechnie „Historyę architektury“ i „Historyę plastyki,“ które obok „Historyi malarstwa“ Woltmana i Woermanna stanowią źródła informacyi dla wielu artystów. Są to dzieła napisane rozumnie, zawierające to, czego potrzeba, zaopatrzone w ilustracye również umiejętnie dobrane. Stąd wyrosła niesłychana popularność Lübkego. Już w r. 1884 Ludwik Pfau starał się ją podkopać w pracy p. t. „Zur Charakteristik des Herrn Lübke,“ obecnie zaś dwaj uczeni połączyli się dla całkowitego „zniszczenia“ Lübkego. Są nimi historyk Janssen i dyrektor muzeum brunszwickiego Riegel. Zarzucają oni mu mnóstwo niedorzeczności, sprzeczności i grubych usterek. Wytropili, że Lübke w pewnym artykule nazwał styl gotycki fabrykatem francuskim, podczas gdy w historyi architektury uważa go za odbicie ducha germańskiego; w historyi plastyki mianuje płodem ducha średniowiecznego, gdzieindziej znów wyrazem prądu reformacyjnego. Renesans w jednem z jego dzieł cierpi na „brak myśli i na nadmiar frazesów,“ w innem cechuje się „twórczością wesołą“ itp. Śmiertelnie zaś, w obliczu nauki, skompromitował się Lübke, według wspomnianych autorów, tłomaczeniem napisu, umieszczonego na pewnym obrazie Chrystusa: „Ego Su Al Pha Et O.“ Lübke wyczytuje z tych liter: „Ego sum Phaeton,“ sądząc, że szło malarzowi o wyrażenie identyczności Chrystusa z bogiem greckim, podczas gdy wiadomo od dawna, że litery te oznaczają: „Jestem Alfą i Omegą.“

Lecz pozwólmy uczonym niemieckim gniewać się i „niszczyć“ swych współzawodników i zwróćmy się ku nowej pracy, która rzadzieli będzie niezawodnie los książek Lübkego: stanie się użyteczną dla kół szerokich i narażona będzie na napaści ze strony specyalistów. Dzieła Lübkego i innych historyków sztuki sięgały właściwie tylko po koniec XVIII stulecia; wiek XIX traktowany w nich pobieżnie, króciutko, niedostatecznie. Właśnie o artystach, których imiona dziś najgłośniejsze, o dziełach, nad któremi krytycy się unoszą, nie można było nigdzie dowiedzieć się szczegółów bliższych, jeżeli kto nie chciał przeglądać czasopism fachowych i szukać monografij. Po części wypełnił lukę tę Reber w swej „Geschichte der neueren Kunst,“ lecz dzieło to również nie obejmuje ostatniego dziesiątka lat. Brak ten usuwa wreszcie praca krytyka berlińskiego, Adolfa Rosenberga, która p. t. „Geschichte der modernen Kunst“ wychodzi nakładem T. Grünowa w Lipsku. Dotychczas wyszły trzy tomy, obejmujące historyę sztuki francuskiej i niemieckiej od schyłku XVIII stulecia aż do dni naszych. Sztuce niemieckiej poświęcono dwa tomy, francuskiej jeden. Jest to praca należąca do rzędu publikacyj Lübkego i Woltmana, jeno z zastosowaniem do odmiennych źródeł wiedzy. Historya sztuki XIX stulecia rozporządza bowiem olbrzymim szeregiem monografij, życiorysów, dalej wiadomościami pomieszczonemi w dziennikach. Rosenberg zrozumiał dobrze odmienność swego zadania i znakomicie się zeń wywiązał. Dzieło jego odzwierciedla istotnie całą różnicę zasobu wiedzy naszej o sztuce współczesnej a wiedzy archeologicznej. Rozwój artystów występuje w niem żywo, niema luk w ich życiu, powodzenie dzieł ich dokonywa się niejako przed oczyma naszemi, słowem, są to ludzie nam współcześni, nie bohaterowie epok minionych. Żałować tylko wypada, że Rosenberg, za przykładem większości krytyków nowoczesnych i ulegając smakowi dziś powszechnemu, główną część dzieła swego poświęca malarstwu, architekturę i rzeźbiarstwo zaś traktuje w sposób niedostateczny.

S.

TEATR.

H. Sudermann. *Honor*, sztuka w 4-ch aktach, przełożył z niemieckiego Maryan Gawalewicz.

Tyle na pierwszej scenie naszej wystawianych bywa sztuk z tandetnego repertuaru zagranicy, że wobec nawału spraw ważniejszych nie poczuwamy się do obowiązku ścisłego notowania tych widowisk. Krótkotrwałem też było, gdyż być musiało, istnienie tego rodzaju dziwactwa scenicznego, jak *Żywy posąg*, lub robót tak słabych, jak *Cień* Lindaua i *Ewa* Vossa, a choćby nawet niepozbawionej talentu *Paryżanki* Becque'a, lecz ograniczonej ciasnemi ramami niewiary małżeńskiej i dającej raczej materyał do studyum patologicznego, niż motyw dla sceny.

Z rodzimego znów repertuaru teatr warszawski nie korzystał dawno i nie chcielibyśmy w tem miejscu zarcgestrować żartu *Na wakacyach*, który reżyserya wybrała ze sztuk, nadesłanych przez p. Kazimierza Glińskiego. O tym żarcie wolimy zamilczeć i wycofać się z tej wzmianki co ryсhlej z honorem. A z pomocą przychodzi nam sztuka tej nazwy najrozgłośniejszego dziś w Niemczech dramaturga, dla której otworzyły się nawet wrota paryskich i włoskich teatrów.

Sudermann krytykuje pojęcia honoru u ludzi różnych warstw swego społeczeństwa. Inne ma o nim pojęcie arystokrata, inne bogaty przemysłowiec, wojskowy, młodzież pozłacana, inne znów ubogi rzemieślnik, żyjący z łaski swego dobrodzieja. Zdawałoby się, że w rzeczywistości honor nie istnieje wcale. Ścisłego określenia tego pojęcia autor nie daje, ale też nie szło mu o to. Pragnął on scharakteryzować społeczeństwo, do którego analizy przystępuje z odwagą walecznego żołnierza, z miłością w sercu i ze skalpelem anatoma w ręku. Na scenę w wypukło rzeźbionych grupach wyprowadza dwa światy: bogatego mieszkańca, w salonach frontowych pałacu i ubogiego rzemieślnika w kilku pokoikach oficyny. Właściwie jest to jeden i tenże sam świat czcicieli złotego cielca, egoistów i ludzi najniższych instynktów, z tą tylko różnicą, że radca handlowy Mühlingk pokrywa swe ubóstwo moralne ogładą towarzyską, a stary Heinecke, którego przed laty konie, zaprzężone do powozu pana radcy, uczyniły kaleką, okazuje się nam we wstrętnej nagości wszystkich wad swoich.

W tej oficynie wyrósł i wychował się Robert Heinecke, syn starego rzemieślnika, który przez lat dziesięć był plenipotentem radcy w jego indyjskich plantacyach. Z sercem przepełnionem tęsknotą, z myślą pracowania dla rodziny wraca, aby przekonać się, że obcym jest wśród najdroższego otoczenia, aby dowiedzieć się wkrótce, że młodszą siostrę jego zbałamucił syn dobrodzieja, Julian Mühlingk. Postanowił zemścić się za tę zniewagę, uprowadzić rodzinę do Indyj, zbłąkaną siostrę nawrócić na drogę obowiązku, lecz wszystkie plany pokrzyżował pan radca sumą 40 tysięcy marek, wypłaconą staremu Heineckemu. Starzy bowiem Heineckowie, córki ich i zięć, stolarz, którzy się bynajmniej na honorze pokrzywdzonymi nie czuli, upojeni niespodzianym i olbrzymim darem, słuchać nie chcą rozpaczliwych dowodzeń oburzonego tym czynem Roberta i w końcu wyrzucić go pragną z rodzicielskiego domu. Rzeczywiście za ciasną, za niską była ta izba cuchnąca dla takiego orła. Potłukł też o nią swe skrzydła, jak łamała je w złoconej klatce piękna dusza, niezrozumiałej przez swe otoczenie Leonii, córki radcy handlowego. Dwie te istoty dwóch odmiennych światów rozumiały się i kochały wzajem. Ona postanowiła pójść za nim i wbrew woli rodziców dzielić każdą jego dolę, lecz za sprawą hr. Saarberga, starego przyjaciela Roberta, którego uczynił swym spadkobiercą — wszystko kończy się dobrze, chociaż w życiu częstokroć bywa inaczej.

Możnaby też zarzucić autorowi, że sympatyczną postać Leonii traktował zbyt szkicowo, że hr. Saarberg, postać opatrznościowa w sztuce, jest żywcem przeniesiony z komedyi francuskich, że na scenie dopiero zwierza się przyjacielowi z tajemnic swego życia, na co miał zbyt wiele czasu za 10-o letniego pobytu w Indyach; lecz o to wszystko nie można mieć wielkiej pretensyi wobec szerokiego programu, jaki autor sztuce swej nakreślił. Pragnął bowiem, o ile się zdaje, przedstawić zgniliznę, nurtującą różne warstwy towarzystwa berlińskiego i to mu się wyśmienicie udało w robocie scenicznej wolnej od ślepego naśladownictwa wzorów poprzednich lub obcych, w dosadnej charakterystyce figur, w sytuacyach pełnych werwy, uwydatnionych bez patosu i deklamacyi z flamandzkim realizmem codziennego życia. Słowem, mamy do czynienia z autorem niepowszedniego talentu, wybitnym realistą sztuki, w którym najgorętszy przeciwnik uznać musi głębokiego myśliciela i uszanować jego rozum i odwagę w wypowiadaniu swych przekonań.

Przekład p. Gawalewicza odznacza się poprawnością języka. Gra artystów była bardzo dobrą. Niemałe zadanie wziął na swe barki p. Kotarbiński w trudnej, a wielkiej roli Roberta Heinecke i wyszedł z niego zwycięzko. P. Rapacki zaś galeryę wyśmienitych ról swoich powiększył świetnie pojętą i odegraną postacią starego Heinecke.

D. T.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

24 marca.

Utwory hr. Al. Tołstoja. — Tłómacz p. Doliwa. — Krytycy *Kraju*. — O sprawie Bartenlewa. — Bal Towarzystwa Dobroczynności.

W gronie poetów ruskich hr. Aleksy Tołstoj zajmuje poczesne miejsce. Utwory jego można podzielić na dwie grupy: oryginalne, jemu tylko właściwe i ogólnoludzkie.

Pierwsze na podścielisku czysto narodowem, częstokroć historycznem, pisane językiem jędrnym i ożywione dowcipną satyrą, są nader udatne. Drugi dział, poważny — jest słabszy.

Na to, żeby panować nad uczuciem czytelnika, utrzymywać w całym utworze jednakowy koloryt, jaki widzimy np. w *Farysie* lub *Ojcu Zadżumionych*, autorowi nie starczy sił; lecz nawet tam, gdzie stara się skupić uwagę na pewnej stanowczej chwili, nie umie wstrząsnąć uczuciem.

P. Gotfryd Doliwa przetłómaczył niektóre z utworów Al. Tołstoja, zwłaszcza takie, które mają charakter ogólniejszy: *Jawnogrzesznicę*, *Jana Damascenesa*, oraz kilka drobnych utworów. Książka wydana nader starannie (Petersburg 1891 r.), nosi tytuł: „Album z poezyi hr. Al. Tołstoja.“

Musimy oddać słuszność p. Doliwie, że przekład jego jest prawie dosłowny; to też najdrobniejsze omyłki autora: stylowe, logiczne, psychologiczne są powtórzone; gdy

zaś dodamy do tego własne omyłki tłómacza, to tego dobrego uzbiera się zasób wcale niemały.

Na dowód przytaczam mały wierszyk, jeden z udatniejszych.

Morze spokojne *falą nie kołysze*,
Na drzewach liść się nie chwieje.
Na wodnej szybie panuje zacisze (?)
Jak w lustrze świat się w niej śmieje. (?)
Siedzę na głazie: zawisły obłoki
Bez ruchu, w *sinym przestworze*.
Duch mój spokojny, duch mój głęboki
— Jemu pokrewne to morze.

W n. 3 *Kraju* o pracy p. Doliwy powiedziano, że jest wielce staranna, język utworów ładny i tylko pewne miejsca w przekładzie utraciły siłę. (Winszujemy!). Zato w n. 5 to, co było dobrem, staje się niewartem imienia poezyi.

Pytanie: dlaczego *Kraj* o jednej i tej samej rzeczy ma dwa zdania? Janus, jest to bożek dziś zaniechany, nie warto mu składać ofiar.

P. Doliwa, gdy przesyłał drugą opinię, zapomniał, że o własnej pracy nikt niema prawa wydawać sądu; na wzór *naszych znanych* zwrócił się do krytyka z krytyką dwakroć surowszą: pycha twórców jest nieszczęściem naszego czasu.

Gdy Kraszewski napisał powiastkę: „O bladej dziewczynie z pod Ostrej-Bramy,“ zawyrokowano, że autor naprożno papier psuje — omylono się: Kraszewski zrobił swoje. Oby i z p. Doliwą tak się stało! Lecz jedna mała przestroga: krytyka przynosi korzyść i czytelnikom i autorowi; to też nie walczyć z nią, lecz popierać jesteśmy obowiązani, inaczej zgnuśniejemy w znikomem zadowoleniu. Jušci przykrem jest, gdy krytyk *rzuca szyderstw pociski*, lecz przysłowie ruskie uczy: „Skoro nazwałeś się grzybem, ruszaj do kobiałki.“

Sprawa o zabójstwo Wisnowskiej stała się manną na czas wcale nie krótki; oburzenie na młokosa słyszymy we wszystkich sferach.

Wielce jestem wdzięczny p. Bohuszowi, (*Głos* nr. 7), że przytaczając treść listu p. K., gromiącego moje zdanie o kahale (*Prawda* nr. 6), nie podążył za przykładem utalentowanych.

Co do p. K. wierzę, że powodowany jest dobrem społecznem, może nawet ma słuszność za sobą. Przyznaję się, że bezstronnego i wyczerpującego studyum o tej instytucyi nie czytałem; jeżeli p. K. zbadał kahały, dlaczego nie napisze? Poco używa jeno strzelistych słów? Pamiętajmy, że o stowarzyszeniu pierwszych chrześcian, modlących się w katakumbach, mówiono w swym czasie, jak o gnieździe opryszków, czarowników, spiskowców. Bezwątpienia działalność Izraela trudno porównać z działalnością owych idealistów, lecz cele kahału czy są napastnicze? Mniemam, że — nie.

Człowiekowi, chcącemu ugotować rosół z żółwia, nieprzyjemna jest twarda skorupa owego tworu, niemiłe również wrażenie sprawia na myśliwym gruba skóra nosorożca, której kula nie może przebić; lecz narzekać na tę zbroję nie mamy prawa. Przyrodnicy uczą, że ona ma racyę bytu, że się wytworzyła pod zewnętrznym naciskiem, jak się tworzą odciski na ręku człowieka pracującego.

Wierzę, że czas zniszczyć kahał, lecz co w zamian ustanowić? Chyba prawo zupełnego obywatelstwa. Z dwojga złego, lepiejby wysiedlić ów lud — skoro znajdzie się dokąd — niż znęcać się nad nim. Bydlęta, zwierzęta znajdują opiekunów, uorganizowanych w towarzystwa... a na człowieka-brata zewsząd sypią się kamienie — co to znaczy?

Bal Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności wprawił w tym roku miejscowe gazety w zachwyt. W jednej z nich nawet opisano szczegółowo ubiory pań, sprzedających kwiaty. Szanowny reporter ani się zawahał siać zgorszenie, podniecać wyobraźnię w kierunku zalet zewnętrznych. Natomiast nikt nie zauważył, że w znacznej mierze hołdowano oszczędności, że z wyjątkiem kilku pań, sadzących się na artystyczne strzępy, ogół zachowywał się skromnie.

Kraj wymienił z należnemi oznakami hołdu, widzianych na balu hr. i ks. Radziwiłłów, Potockich, Tyszkiewiczów, Giżyckich, w końcu zaś artykułu, w nawiasie, imiona tych, co ofiarowali hojniejsze datki dla biednych: pp. Blocha, Fedorowicza, Jołszyna i Suszczowa. Krom tego czytamy nazwiska osób, co czyniły honory domu w loży poselskiej, oraz tych, w czyje ręce dobroczyńcy składali ofiary... Przyjąć datek niemałą jest zasługą!

Pewien jasnowidz twierdzi, że w księgach niebieskich nazwiska błogosławionych są zapisane według stopni zasług. Piekło trzyma się podobno tej samej zasady, jużci zasługi innej tam są kategoryi, lecz nam chodzi głównie o system. Otóż mniemamy, że ziemia powinna naśladować zaziemskie światy. Skoro zapisujemy nazwiska uczestniczących w balu *dobroczynnym*, powinniśmy wymieniać osoby podług ich zasług względem hołoty, więc projektujemy taki porządek:

Najhojniejsze datki złożyli panowie: Bloch, Fedorowicz, Jołszyn i Suszczow.

Organizatorami balu byli członkowie Zarządu Dobroczynności; z ich liczby p. Ignacy Knoll najwięcej poświęcił trudów.

Gospodyniami były: panie Wojnicka i Maleszewska. Kwiaty sprzedawały pp. Święcicka i Sędzikowska.

„Pod względem kokieteryi i elegancyi nie ustępowały bynajmniej francuzkom“ pp. NN, NN,... (Długa litania istot nie ustępujących w kokieteryi francuzkom—podług wskazówki *Kraju*).

Wreszcie imiona tych, co się zbytnią kokieteryą nie odznaczyli, to jest gości dostojnych.

Dochodu z balu otrzymano [illegible] tysiąca rubli, a więc tyle, co i w przeszłym roku; niech to służy potomnym wiekom za przykład, dobroczyńcom, organizatorom i gospodyniom na chlubę, a biedakom na użytek, ku większej czci i chwale... etc. etc...

N. B.

LIBERUM VETO.

Nowe wiadomości w sprawie emigracyi. — List delegatów. — Jak się przedstawił nasz chłop cudzoziemcom. — Dwie ostateczności jego charakteru.— Pokora rodzi hardość. — Cudotwórca z Koła. — Dół za przykładem góry. — Za mały procent głupich między ciemnymi. — Epoka konceptów. — Ostatni wytwór „końca wieku.“ — Monologi. — Sekretarz Muzeum przemysłu dymisyonowany przez prasę. — Włosek z doświadczenia.

Do wiadomości, że rząd brazylijski zerwał dotychczasową umowę z towarzystwem przewozowem „Lloyd,“ czy też ostrzegł je, ażeby mu nie dostarczało już emigrantów z Królestwa Polskiego i Cesarstwa, gdyż on ich przyjmować nie będzie, do tej wiadomości dołączyła się druga, że Rosya z Niemcami postanowiła wywrzeć nacisk na rzeczpospolite południowo-amerykańskie, ażeby zaprzestały niegodziwego werbunku wychodźców, łudzonych kłamliwemi obietnicami. Tymczasem nowi delegaci: p. Glinka i ks. Chełmicki jadą do Brazylii. Z drogi nadesłali oni list (ogłoszony w *Kuryerze warsz.*), który nie rozjaśnia sprawy, ale poucza, jak nasz lud przedstawia się cudzoziemcom. „Wogóle lud to dziwnie nawykły do kłamstwa—mówił ks. Chełmickiemu jeden z członków Towarzystwa św. Rafała w Bremie, opiekującego się emigrantami. Iluż naliczyłbym takich, którzy przychodzili do mnie, prosząc o jałmużnę lub kęs chleba, zaręczając, że mrą z głodu. W kilka dni później mieniali ci sami dziesiątki i setki rubli u wekslarzy, co, nawiasem mówiąc, przyrzekałem wszystkim sam dopełnić, obawiając się, aby ich nie oszukano. Wogóle, wierzajcie mi panowie, ubolewam więcej nad moralną, niż materyalną nędzą tych ludzi. Gdym im dawał datki, rzucali mi się do nóg, następnie spotykali mnie, nie pokłoniwszy się, udając, że mnie nie znają. Jakiež to przytem fizycznie słabe! Według mego doświadczenia, wszystkich starszych i dzieci zabije w krótkim czasie klimat brazylijski. Zaledwie młodzi ocaleją do miernego i nad wyraz uciążliwego żywota.“ W tym obrazku malują się niektóre rysy naszego chłopa wiernie: kłamstwo, skłonność do żebraniny, pokora i jednocześnie, po osiągnięciu jej celu, brutalna obojętność, wreszcie wyniszczenie fizyczne. A jednakże te istoty, których nędza moralna bardziej zasmuciła księdza niemieckiego, niż materyalna, nie rodzą się upodlone. Takiemi dopiero tworzy je życie, warunki, niesprzyjające ani rozwojowi umysłów, ani uszlachetnianiu się charakterów. Piękne uczucie godności własnej, charakteryzujące człowieka prawdziwie wysokiej kultury, ujawnia się w naszym chłopie rzadko: zwykle jest on pokornym aż do poniżenia lub zuchwałym aż do brutalstwa. Gdy po raz pierwszy zobaczył go Heine, zauważył, że tej istocie brak ogona, którym mogłaby wyrazić swą poddańczość. Tak było za czasów pańszczyźnianych. Z ostatniej ćwierci wieku narodził się nowy typ — szorstkiej hardości. Chłop niemiecki pozdrowi ukłonem każdego spotkanego na drodze sąsiada, zarówno posiadacza rozległych dóbr, jak włościanina. Nasz zegnie się do ziemi z odkrytą głową, ucałuje kolana lub ręce, gdy ma jakąś prośbę; ale nawet wyrostek pasący bydło nie uchyli czapki przed najżyczliwszym dla ludu „dziedzicem“ i odburknie się niegrzecznie, gdy go nie potrzebuje. Tej średniej miary, która łączy uprzejmość z godnością, daremnie szukalibyśmy w charakterze naszego ludu i dlatego jedną lub drugą cechą razi on cudzoziemców, a powinien obiema razić nas. Mówię: obiema, gdyż jakkolwiek czcicielom tradycyj pańszczyźnianych i amatorom czci poddańczej mogą się bardzo podobać uniżone hołdy, widok poważnego gospodarza, stojącego przed panem jak przed świętym, zniżającego mu się do stóp, składającego czołobitność niewolniczą, jest równie bolesny, jak wstrętny. I niewątpliwie zbytnia pokora rodzi grubiaństwo. Mimo że chłop nawykł do tarzania się w prochu przed „panem,“ czuje on tę poniewierkę, więc nie mając do niej powodu lub obowiązku, wpada w drugą ostateczność, odchyla się gwałtownie w przeciwną stronę, jak pręt nagięty w pałąk. Gdybyśmy nie podtrzymywali w nim upokorzeń, nie wywoływalibyśmy zuchwalstwa. Niech o tem pamiętają ci, którym ono nieraz dokucza i którzy się niem gorszą. Reguła Kanta, według której w każdym człowieku należy widzieć samoistny cel, a nie środek, stosuje się również do najniższych gatunków rodzaju ludzkiego. Kto chce nauczyć chłopa grzeczności, niech go oduczy pokory i uszanuje w nim godność człowieczą.

Wogóle rzec można, iż w drabinie społecznej niższe szczeble są karykaturami wyższych. Często bardzo, jeśli porównamy bardziej oddalone od siebie, zdaje nam się, że między nimi nie ma cech wspólnych, jak kurczęciu zdaje się, że go nic nie łączy z jajkiem. Oto np. jedno z pism serdecznie śmieje się z łatwowierności prostaczków, oszukiwanych przez pewnego cudotwórcę

w Kole. Namówił on zdrowego chłopca, ażeby udawał niemotę, z której go wyleczył; usuwał wszelkie choroby, jak hypnomagnetyzer; kobiety bezdzietne czynił płodnemi, zapomocą krwi gołębiej sprowadzał wygranę dla premiówki itd. „Zmień imię, a o tobie mówić będzie ta bajka“ — zauważali w takich wypadkach rzymianie. Szydzimy z ludzi ciemnych, gdy wierzą cudotwórcom, gotowiśmy to zaślepienie uważać za szczyt nierozumu, a iluż oszustów wodzi nas za nosy po polu, jakie głupstwa płoną światłem w głowach ukształconych, ile „cudów“ codziennie zaprzysięgamy! Nie ma chyba tak bzdurnej bredni, któraby nie posiadała wyznawców między ludźmi wyższej umysłowości. Gdyby ktoś zaczął głosić, że korzeń pokrzywy przywraca pamięć, że odwar z kory suchego jesionu leczy suchoty, że figurka z drzewa chroni pola od gradu, że wzrostem trawy na łąkach opiekują się osobne duchy, że zbawienie ludzkie tkwi w pieczonem prosięciu itp.— ściągnąłby liczną rzeszę uczniów, na których padały promienie istotnej wiedzy. Więc nie dziwmy się ciemnocie tych, których one prawie nie dotknęły. Raczej dziwić się należy, patrząc na wyższe warstwy społeczeństwa, że w niższych tak mało lęże się przesądów. Stosunkowo bowiem do inteligencyi pierwszych, ostatnie powinny być pokryte grubą skorupą zabobonu, któryby na nich spoczywał jak nigdy nietopniejący lodowiec. Według tego, w co wierzą wychowańcy gimnazyów i uniwersytetów, chłop mógłby śmiało wierzyć, że słońce jest wielkiem ogniskiem, w którem pieką kartofle pastuchy, pilnujący na niebie stad, przedstawiających się nam jako gwiazdy, że wiatr jest dmuchaniem miecha kuźni dyabelskiej, że po świecie chodzą cudotwórcy, którzy umieją szczotkę zamienić na las, a tasiemkę na rzekę, że cztery owce mogą się połączyć w jedną itd. Proporcyonalnie do głupich ludzi między ukształconymi stanowczo za mało jest głupich między nieukształconymi. Powinno ich być znacznie więcej.

Zaledwie przeszedłem w życiu lat dziesięć, kiedy stanęła przede mną zagadka, której dotąd rozwiązać nie mogę: jaki sens mają monologi? Rzeczywiście nieraz ludzie mówią sami do siebie, ale zwykle ograniczają się na paru oderwanych zdaniach lub wyrazach. O tem jednak, ażeby prawili w samotności długie tyrady — nie słyszałem. Tymczasem w powieściach, komedyach i dramatach gadają tak całemi stronicami. Jeżeli każe im to czynić nawet Moliere, Shakespeare lub Schiller, tłomaczymy genialnych autorów tem, że nie umieli jeszcze ujawniać myśli swych bohaterów w akcyi i od czasu do czasu musieli odkrywać ich dusze przed czytelnikami lub słuchaczami. Ale nowoczesna fabrykacya utworów scenicznych chwali się, że już posiada tę sztukę w najwyższem udoskonaleniu i że wiernie odtwarza życia. Otóż czy w życiu ludzie, oprócz waryatów, istotnie tak wiele sami z sobą rozmawiają? Nie. Pewien lichwiarz zapewnia, że robią to tylko niemający pieniędzy, bo nikt z nimi rozmawiać nie chce, ale nie sądzę, ażeby i oni uciekali się do tej konieczności często. Czemuż więc bohaterowie teatralni zawzięcie monologują, zwłaszcza, że między nimi niewielu jest ogołoconych z pieniędzy? Niedość tego pytania. „Realistyczna“ dramaturgia współczesna nie poprzestała na monologach, zrzadka wplecionych w akcyę, lecz wyosobniła je i uczyniła z nich odrębny, skwapliwie uprawiany rodzaj literatury. Już nietylko autorowie, ale nawet aktorzy i specyalni artyści układają takie pogadanki z sobą i wypowiadają je ze scen lub estrad. Zaiste, leży to w stylu *fin de siècle*, epoki, która wyczerpała się zupełnie z natchnień i zdobywa się tylko na świeże koncepty. Można było wszystko raczej przypuścić, niż to, że wiek naturalizmu, wiek prawdy w sztuce wydobędzie z literatury scenicznej najniedorzeczniejszy i najnieprawdziwszy jej pierwiastek, nadając mu prawa samoistności. Poprostu zbrakło mu nowych pomysłów, o które dziś głównie chodzi: w sztuce, przemyśle, prasie — wszędzie. Obecna ludzkość, śpiąc, nie marzy, a budząc się, nie łaknie wielkich teoryj naukowych, głębokich wylewów uczucia poetyckiego, błyskawic wiedzy i słońc sztuki, ona tylko oczekuje oryginalnych, tj. nieznanych dotychczas konceptów. Były buty podobne do kryp, trzeba zrobić podobne do łodzi; siedziały wypchane ptaszki na kapeluszach kobiecych, trzeba je przyczepić do sukni; mąż zabijał żonę za niewierność, trzeba go przejąć uwielbieniem dla niej; pisało się dyalogi, trzeba pisać monologi. Kto wie, czy za rok, dwa, nie będziemy nosili przy zegarkach łańcuszków wykrawanych z brukwi, czy nie będziemy jeździli konno twarzą ku ogonowi i wprowadzali na sceny niemych, którzy mimiką odgrywać będą komedye i dramaty. Przypuszczam, że Shakespeare, Schiller, Słowacki, Fredro, dumając w jakiemś ustroniu, widzieli przed sobą rodzące się ze swej fantazyi wspaniałe obrazy, słyszeli piękną mowę swych postaci, zatapiali się w ich myślach i uczuciach; dzisiejsi synowie Melpomeny polują ustawicznie na świeże pomysły. Przed paru laty pisma donosiły, że gdy jakiś koncept wpadł do głowy Sardou w kawiarni, ucieszony szczęśliwiec wskoczył natychmiast do dorożki i odwiózł drogocenny zalążek nowej sztuki, ażeby go w domu utrwalić. Czy dziwno więc, że w tej pogoni za nowością nie pogardzono marnym monologiem, który dotychczas samoistnie nie występował? Zresztą od kiedy pogodziliśmy się z nim w imię tej zasady, że dla geniuszu niema złej formy, gdyby kiedykolwiek dostał się w ręce mistrzowskie. Ale czem on jest dzisiaj? Śród utworów nikłych, banalnych, będących sznurkami pustych słów, nowoczesne monologi estradowe jeszcze się wyróżniają swą nicością. Pośledniejszą od nich nie może być najmizerniejsza farsa, najgorsze wierszydło, bo przynajmniej posiadają jakiś wątek i rymy, jakiś sens, drobinę talentu, pracy, myśli. Monolog obywa się bez wszystkiego.

Był wszakże jeden, który przynajmniej doczekał się skutku. Oddawna prasa monologowała przeciwko zarządowi, a raczej sekretarzowi Muzeum przemysłu i rolnictwa. Opowiadano publicznie, że on na strychy i do piwnic wrzuca cenne okazy wystaw, że samowolnie nakłada rozmaite opłaty, że gospodaruje z wielką pamięcią o sobie, a bez żadnej pamięci o instytucyi. Nareszcie pewnego dnia *Kuryer codzienny*, wziąwszy na odwagę, krzyknął sekretarzowi: „precz z rękami.“ Było to ostatnie słowo monologu, po którym zaczął się krótki dyalog: mianowicie oskarżony oświadczył w pismach, że odejmuje swoje ręce od Muzeum, a wyrządzonych mu krzywd dochodzić będzie na właściwej drodze. „Gdzie jest dym — mówi przysłowie — tam musi być ogień.“ Prasa nasza, z wyjątkiem paru jej organów, zbytnią surowością w sądzeniu ludzi i czynów nie odznacza się; więc prawdopodobnie dopatrzeć musiała w sekretaryacie Muzeum tyle nieprawidłowości, że aż ją odbiegły zwykłe względy i powody do milczenia. Przypuszczamy taką możliwość tem bardziej, że nasza redakcya również odbierała wielokrotne zażalenia w tej sprawie. Po usunięciu „kamienia obrazy“ ogólnej, zdaje się, że doświadczenie wskaże zarządowi drogę, na której nie spotka i nie wywoła dotychczasowych zarzutów.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Równouprawnienie kobiet w prawie spadkowem. — Konwersye, jako wynik taniości kapitałów. — Szkopuł w bankach ziemskich. — Postępy techniki w gospodarce chłopskiej.

W prasie ruskiej obiega pogłoska o mającem niebawem nastąpić prawodawczem zrównaniu kobiet z mężczyznami pod względem prawa dziedziczenia majątku. Jak wiadomo, dotychczas kobiecie w Rosyi przypada w udziale spadkobierczym uderzająco mała część. Córka otrzymuje po rodzicach $^1/_{14}$ majątku nieruchomego, żona po mężu $^1/_7$ nieruchomego i $^1/_4$ ruchomego. Początku tak szczególnego prawa szukać należy we właściwościach kształtowania się własności ziemskiej w Rosyi, będącej pierwotnie jedyną postacią majątku nieruchomego. Kobieta prawie zupełnie traciła prawa dziedziczne. Ale przyczyna ekonomiczna, z której ta nierówność się poczęła znikła jeszcze za Katarzyny II. Jeżeli zaś skutek prawny, w stanie szczątkowym utrzymał się do obecnej chwili, przypisać to trzeba tej okoliczności, że brakło dojrzałych nowych czynników ekonomicznych, któreby wywierając stanowczy nacisk, rozbiły tę twardą skorupę przywileju męzkiego. Pojedyncze jednak głosy protestu odzywały się niekiedy z ust przedstawicielów różnych warstw społecznych. Najgodniejszym uwagi jest jeden z nich, który pochodził od deputata szlacheckiego ze słynnej komisyi Katarzyny: „Rodzice teraz ze smutkiem patrzą na swoje biedne córki. Ojciec, mający syna i córkę, musi zostawiać w spadku częstokroć niegodnemu synowi trzynaście części, gdy córka dostaje tylko jedną czternastą. Tem jest to dotkliwszem, że mężczyzna bez tak niepomiernego uposażenia miewa sposobność zdobycia różnymi ubocznymi środkami nietylko własnego utrzymania, lecz nawet majątku; kobiety zaś nieraz widzimy uciśnione niedostatkiem, wiodące opłakany żywot, albowiem nawykłe do zbytku w domu rodzicielskim, z utratą jego tracą przystojne utrzymanie.“ Nigdy bardziej, niż obecnie, w okresie bankructwa szlachty, słuszność tych wyrazów nie stosuje się do położenia kobiet klas uprzywilejowanych w Rosyi. Z każdym rokiem liczba zmuszonych szukać środków utrzymania w pracy najemnej i niemających zapewnionego zamążpójścia — wzrasta. To też chwila gdy w zmurszałe paragrafy wcieli się pod naciskiem okoliczności zewnętrznych nowa idea sprawiedliwości jest już nader bliską.

Niedaleką jest również chwila, gdy znamienna cecha życia ekonomicznego w Rosyi — drożyzna kredytu, wysokość odsetek — będzie należała do przeszłości. Cały szereg podjętych przez p. Wyszniegradzkiego konwersyj jest obecnie zwiastunem tego radosnego dla wytwórców stanu rzeczy. Naturalnie, że taranem, który uderza w mury warowni zrutynizowanych, nieprzedsiębierczych kapitalistów krajowych— jest interes skarbu. On to pochwycił szczęśliwą dla siebie chwilę spadku odsetek i drogą konwersyj utrwali ten objaw. Jak dalece okoliczności temu sprzyjają, świadczyć może fakt wzrostu podaży kapitalistów. Kiedy w marcu 1888 obligacye 4% pożyczki wewnętrznej cenione były na giełdzie po 83 rs., teraz cena ich podniosła się do 97 rs., czyli o 14 rs. Jeżeli odpowiednio nie poskoczyły i papiery pięcioprocentowe, to tylko dlatego, że była obawa ich konwersyi. Również obfitością wolnych pieniędzy daje się tłomaczyć i wzrost wkładów bankowych. W ciągu 1890 suma ich w jednym tylko banku i jego oddziałach urosła prawie o 350 milionów rubli. Ogólna suma wkładów około 1 grudnia 1890 również w bankach państwowych i prywatnych wynosiła 664½ milionów rubli. Dla jednej trzeciej tej su-

my banki nie mogły znaleźć obrotu, gdy tymczasem same zmuszone były płacić procenty depozytowe. *Dzień* przypuszcza, że upadek odsetków w Rosyi pójdzie jeszcze dalej i za zbliżeniem ruskich rynków pieniężnych z zachodnio-europejskimi, procenty dosięgną poziomu, właściwego tym ostatnim. Wiadomo, że w Europie zachodniej odsetki od pożyczek państwowych wynoszą 3%. Zbliżeniu temu tymczasem stoi na zawadzie chwiejność waluty ruskiej. Z tego więc widać, że obecna kampania konwersyjna p. Wyszniegradzkiego jest prostym wynikiem zwiększonej podaży kapitałów krajowych, co umożliwia czynienie oszczędności skarbowych.

Jednakże jest jeszcze jeden szkopuł do zwalczenia — wysokość procentów instytucyj kredytu zastawniczego. Nadzieje powodzenia ostatniej konwersyi, czyli tak zw. wewnętrznej pożyczki 4% zostały zatwierdzone. Właściciele obligacyj z 1862 r., zamiast je wymienić na nowe ponętne obiecanemi ulgami, woleli wycofać swoje pieniądze zupełnie i umieścić je w hypotecznych oraz innych bankach. Fakt ten popycha ministeryum finansów do żywszego zajęcia się również sprawą konwersyi listów zastawnych banków ziemskich. Idzie o wyrównanie warunków rynków pieniężnych; póki bowiem lokacya kapitałów w instytucyach hypotecznych oraz innych nie przestanie być korzystniejszą dla publiczności, zmniejszenie procentów od wewnętrznych pożyczek państwowych, będzie rzeczą niedościgłą. Ale i pod tym względem ścieżki zostaną sprostowane. Nie napróżno przedstawiciele banków ziemskich zjechali się na swój wiec w Petersburgu. Wynikiem ich obrad prawdopodobnie będzie powszechna konwersya 6-procentowych listów zastawnych na 5-procentowe. Jeśli to się stanie, zapanują w Rosyi takie warunki nieześtniczenia w podziale nadwartości, które publiczność oduczą od staroświeckich zwyczajów duszenia grosza w cholewie.

Wogóle rzec można, iż po krucyacie przeciwko pijaństwu i sztundzie zdawałoby się, iż kredyt w różnych postaciach jest dziś najżywotniejszą kwestyą w prasie i życiu ruskiem. Prócz konwersyj, na porządek dzienny wystąpił kredyt melioracyjny. Jest on zresztą westchnieniem uciśnionego rolnictwa przez rynek powszechny. W ożywczem źródle tej nowej krynicy uzdrawiającej skąpać się ma nietylko wielkie rolnictwo, ale i wyjałowiony, pierwotnymi sposobami uprawiany zagon chłopski. Nim jednak do tego dojdzie, obecnie liczba ziemstw, które pośpieszyły z poparciem gospodarki chłopskiej, z każdym rokiem wzrasta, rozmiary zaś ich działalności na tem polu stają się coraz szerszymi. Szczególnie pod tym względem odznaczyły się ziemstwa w gub. moskiewskiej, permskiej, wiackiej i w części pskowskiej. Rezultaty przez nie osiągnięte świadczą, że gospodarze-włościanie są bardzo skłonni do ulepszeń technicznych. Tak np. dzięki wysiłkom ziemstwa w gub. moskiewskiej prawie powszechnie przyjęto pług, wialnie, młocarnie, w niektórych zaś powiatach gub. moskiewskiej włościanie zaprowadzili u siebie uprawę traw pastewnych. Organizacya upowszechnienia machin i narzędzi jest bardzo prosta. Przy zarządach ziemstw otwierane są składy, które je sprowadzają albo za własną inicyatywą lub też na zlecenie gospodarzy. Następnie maszyny i narzędzia są sprzedawane na raty od jednego roku do lat pięciu. Machiny droższe, jak młocarnie, nabywane są częstokroć przez spółki. Wreszcie niektóre ziemstwa powierzają wyrób narzędzi rolniczych drobnym rzemieślnikom — „kustarnikom.“ Wyroby te, jak się podobno okazuje z wystaw prowincyonalnych, są najbardziej dostępne w cenie i najlepiej zastosowane do potrzeb drobnych gospodarstw.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Sądy. W znanej sprawie małżonków Zołotnickich, oskarżonych o znęcanie się nad córką, która skutkiem tego wyskoczyła oknem z drugiego piętra na ulicę, Izba sądowa uchyliła wyrok pierwszej instancyi i skazała ich na 7 miesięcy wieży.

Odczyty publiczne, które niegdyś budziły tak wielkie ożywienie, straciły siłę przyciągającą i zeszły na poziom zwykłych pogadanek naukowych. Seryę tych lekcyj na dochód Osad rolnych rozpoczął p. E. Jankowski wykładem o hodowli kwiatów w pokoju. Znakomity ogrodnik dał wszelkie możliwe wskazówki w tym przedmiocie, objaśniając niektóre okazami. P. T. Krzyżanowski, który po nim wstąpił na katedrę, zajął się przedstawieniem warunków zdrowia i niezdrowia w miastach. I ta pogadanka była bardzo pożyteczna, pouczająca i praktyczna.

Obrady na giełdzie warszawskiej, połączone z wyborem zarządu, dały ujście skargom świata handlowego na warunki, które mu dokuczają. Odczytane sprawozdanie komitetu nakreśliło w ogólnych rysach stan niepewności, wywołanej zamierzoną a dotąd nieurzeczywistnioną reformą taryfy celnej, oraz zmianą taryf kolejowych. Są to niewątpliwie kwestye pierwszorzędnej wagi.

Sprawy społeczne. *Wil. Wiest.* pisze, iż ministeryum spraw zagranicznych weszło w układy z rządem niemieckim w sprawie energicznego wystąpienia na drodze dyplomatycznej do rzeczypospolitych południowo-amerykańskich o zaprzestanie szkodliwej agitacyi w Europie na korzyść emigracyi do Ameryki południowej. Wspólne wystąpienie obu rządów niezbędne jest z tego powodu, że ruch emigracyjny zarówno obchodzi Niemcy, jak i Rosyę. Według doniesienia przedstawicieli dyplomatycznych, ruch ten zaczyna przenikać do prowincyj ruskich, gdzie może przybrać groźne rozmiary. Istnieje projekt zażądania wprost od rządów brazylijskiego i argentyńskiego, aby na przyszłość nie wpuszczano wychodźców do tych krajów, w razie jeżeli nie będą posiadali formalnego upoważnienia swych rządów. Następnie Rosya i Niemcy mają zażądać wypuszczenia wszystkich tych wychodźców, którzy wyrażą życzenie powrotu do kraju. Nadto będą wydelegowani z ramienia rządu do Brazylii i Argentyny agenci w celu sprawdzenia istotnego stanu rzeczy.

— W Warszawskiem biurze adresowem dwie posady obejmują kobiety.

— Z zapisu d-ra Jana Bącewicza wakuje pięć wsparć po 90 rs., przeznaczonych dla niezamożnych wdów po lekarzach, pochodzenia polskiego, wyznania chrześciańskiego, a w braku tych — po lekarzach innych wyznań. Kandydatki powinny się zgłaszać do jednego z członków komitetu kasy wsparcia podupadłych lekarzy przed 15 czerwca r. b.

— Modrzejewska ofiarowała na wsparcia podupadłych artystów rs. 882, jako dochód z widowiska, w połowie dla niej przeznaczonego.

— Dyrektorowie prowincyonalnych towarzystw dramatycznych, przybywający na sezon letni do Warszawy, składać będą kaucye policyjne po rs. 500, tj. o rs. 200 więcej niż w r. z.

— W Rosyi powstało pierwsze stowarzyszenie p. n. *Samopomoc*, w którego skład wchodzą obywatele gub. finlandzkiej. Celem jest handel przedmiotami codziennej potrzeby, nabywanymi z pierwszej ręki. Kapitał 250 tysięcy rs. po 200 rs. udział.

— Poruszono projekt zniesienia wszelkich instytucyj szlacheckich w prowincyach nadbałtyckich i zastosowania ogólnych przepisów państwowych.

— W Szkocyi szerzy się agitacya w sprawie odłączenia kościoła od państwa.

— Ks. Podgórski w Iwoniczu otworzył własnym kosztem zakład dla ubogich sierot.

— W Merwood w Pensylwanii przyszło do starcia między zmówionymi robotnikami z fabryk kortu, a policyą. Strzelano z obu stron. Kilku policyantów lekko raniono, 11 zmówionych zabito, 27 raniono.

Szkoły. Ministeryum oświaty postanowiło opracować nowy katalog normalny dla bibliotek uczniowskich w gimnazyach i szkołach realnych.

— Dwa chedery w Warszawie, istniejące bez pozwolenia władzy, zostały zamknięte.

— Nowy regulamin egzaminów wkrótce będzie rozesłany przez ministeryum dyrekcyom średnich zakładów naukowych dla natychmiastowego zastosowania w praktyce. Egzaminy ustne i piśmienne obowiązują klasy: IV, VI i VIII. W pozostałych tylko ustne. Dodatkowe egzaminy powakacyjne, którym podlegali uczniowie źle przygotowani, będą zniesione.

— Władza edukacyjna wyjaśniła, że osoby, niekończące seminaryum nauczycielskiego, lecz posiadające patenty nauczycieli początkowych, nie mogą zajmować posad w szkołach początkowych; zaś w razach wyjątkowych — tylko za pozwoleniem kuratora okręgu naukowego.

— Wydano rozporządzenie, na mocy którego technologowie I-ej klasy używać odtąd będą tytułu inżenierów-technologów.

— Szkołę rolniczą w Dublanach zamknięto.

— W seminaryach nauczycielskich w Austryi wprowadzony będzie wykład hygieny.

— We Lwowie odbyły się narady, mające na celu obmyślenie sposobu skrócenia zakresu nauk przyrodniczych w gimnazyach i szkołach realnych. Postanowiono obciąć kursy zoologii, botaniki i mineralogii.

— Szkoła techniczno-przemysłowa w Krakowie zaprowadza obowiązkowy kurs nauki o budowlach drogowych i wodnych.

Sprawy kolejowe. W Odesie otworzono stałą agenturę, której zadaniem będzie wysyłanie do Władywostoku materyałów dla budowy kolei Ussuryjskiej. Przewóz powierzono flocie ochotniczej, z którą ministeryum komunikacyi zawarło umowę na cztery lata.

— Ministeryum komunikacyi poruszyło sprawę ustanowienia specyalnej emerytury dla maszynistów i konduktorów, jako osób, narażających swe życie na największe niebezpieczeństwo. Według projektu całkowita emerytura ma być wydawana za 25 lat służby, jeżeli przy tem maszynista doszedł do 50, a konduktor do 55 lat wieku. Za dziesięcioletnią pracę otrzymają ćwierć emerytury, za 15 połowę, za 20 — trzy czwarte.

— Do właściwej władzy wniesiono projekt budowy kolei Penzeńsko-Charkowsko-Łozowskiej, bez wszelkiej gwarancyi ze strony rządu lub ziemstw.

— W tych dniach roztrząsane było przedstawienie o wykup przez skarb grupy kolei południowych. Uznano za rzecz ważną połączyć w jedną grupę linii: Charkowsko-Mikołajewską, Libawsko-Romeńską, Doniecką, Kursko-Charkowsko-Azowską, Jekaterynowską i Łozowsko-Sebastopolską.

— Cesarz niemiecki zatwierdził bardzo znaczne zniżenie cen jazdy na kolejach dla biednych chorych i ich opiekunów.

Wiadomości administracyjne. Komisarze cyrkułowi w Warszawie otrzymali polecenie zobowiązać właścicieli fabryk i zakładów przemysłowych, tudzież zajmujących się procederem przewozowym, aby najdalej do 16 b. m. sformowali listy robotników, z wymienieniem miejsca zamieszkania, wieku i dokumentów.

— Wkrótce rozpatrywany będzie w Radzie państwa projekt ministra skarbu, dotyczący zorganizowania instytucyi centralnej (prokuratoryi), którąby zajmowała się obroną interesów skarbu we wszystkich instancyach sądowych.

— W Brukselli podpisano traktat o wydawanie przestępców pomiędzy rządami państw Kongo i Afryki niemieckiej.

Komunikacye. Ministeryum komunikacyi uzyskało pięć milionów rubli na regulacyę rzek między innemi — Wisły w górze i pod Warszawą.

— W Białymstoku zaprowadzona będzie komunikacya telefoniczna.

Wystawy. Przeszło 2000 przemysłowców francuskich oraz 700 artystów złożyło deklaracyę przyjęcia udziału w wystawie moskiewskiej.

— Projektowana wystawa hygieniczna w Petersburgu odbędzie się dopiero w r. 1893.

Zjazdy. W Moskwie odbędą się w r. 1893 kongresy międzynarodowe: antropologii, archeologii przedhistorycznej i zoologii.

— W Christianii 25, 26 i 27 sierpnia r. b. odbędzie się trzeci z rzędu zjazd członków związku międzynarodowego prawa karnego.

Zdrowie publiczne. Kilku lekarzy warszawskich, właścicieli zakładu ginekologicznego, zawiązało spółkę w celu wybudowania wielkiego szpitala dla kobiet przy ul. Pańskiej.

— Rok ubiegły powiększył w państwie liczbę doktorów medycyny o 90 i lekarzy o 685.

— Na kongresie chirurgów w Berlinie dr. Bergman potępił stanowczo kantarydynę, utrzymując, że leczy ona wilka tylko chwilowo.

— W Krakowie dr. Braun otwiera dom zdrowia dla kobiet.

Przemysł i handel. Kupcy moskiewscy zawiązują towarzystwo ruskich hodowców bawełny, z kapitałem zakładowym 400,000 rs.

— Obywatele ziemscy z gub. litewskich zakładają w Warszawie sklep z wędlinami, urządzonemi na sposób litewski.

— Pod Kołem zamknięto fabrykę koronek p. Kuczyńskiej.

— Poznańskie Towarzystwo górnictwa naftowego i wosku ziemnego wykazuje straty 25% kapitału.

Zmarli. Dr. Henryk Łuczkiewicz, lekarz, profesor uniwersytetu warszawskiego. Za pośrednictwem artykułów przystępnych rozpowszechniał wiadomości z zakresu hygieny i medycyny.

— Stefan Lasocki, współpracownik pism peryodycznych, dawniej współredaktor *Gazety warszawskiej*.

— August Becher, w Wiedniu, powieściopisarz.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. L. t. 15 w Krakowie. Jest to prawdopodobnie rozprawa obszerna, dla której nie mielibyśmy dość miejsca w *Prawdzie*. Zresztą niech Pan przyśle pod opaską rekomendowaną.

W. L. K. 1) Termin otwarcia wystawy 1 maja 1893 r. 2) Projektowany, ale czy dojdzie do skutku—nie wiadomo. 3) Jest tylko jeden Hipolit; Henryka stworzył błędnie tłomacz. 4) Nie przesłał, ale zajęły redakcyą swego pisma.

Panu Maks. Fr. we Lwowie. Księgarnia, w której Pan prenumeruje, może zażądać od nas zeszytu pierwszego po cenie 30 kop.

Panu Wierzb. Są to dziwactwa języka, w których przyimek *po* połączył się właściwie z przypadkiem 7 (po groszu, po rublu, po polsku), zmienionym następnie na 3 (po złotemu — po staremu, po pijanemu i t. d.) Wogóle nie należy od języka wymagać ścisłej logiki, gdyż on nie jest jej tworem.

Idealnej. Słabszy od innych.

Pani M. H. Krzem. Ponieważ poprzedni list Pani nam zaginął, prosimy uprzejmie o przysłanie adresu dla porozumienia się w przedmiocie noweli.

Czytelnikowi. Żadnego nauczyciela języka angielskiego nie znamy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

— Młody człowiek dla dokończenia studyów uniwersyteckich potrzebuje rs. 200. Ktoby mógł pożyczyć na termin dwuletni, raczy zgłosić się do Redakcyi.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ma honor prosić tych b. członków korespondentów, którzy, mimo imiennych odezw, dotąd nie udzielili komitetowi żadnej relacyi o obrocie wydanych im w r. z. do rozsprzedaży dowodów składkowych Towarzystwa, aby raczyli zawiadomić Komitet w czasie o ile można rychłym, czy i komu dowody te były sprzedane, inaczej bowiem Komitet zmuszony będzie poszukiwać na nich należności za powyższe dowody składkowe, o ile rachunki nie zostaną uregulowane lub dowody Towarzystwu nie zwrócone.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ma zaszczyt prosić pp. członków korespondentów, aby w miarę otrzymywanych wpływów ze sprzedanych tegorocznych dowodów składkowych wpływy te raczyli przysyłać lub składać w kasie Towarzystwa, nie czekając ostatecznego terminu w listopadzie. Tym tylko sposobem Komitet będzie w możności dokonywania zakupów obrazów i rzeźb i w ciągu roku w warunkach o wiele dogodniejszych dla artystów zarówno, jak i dla członków Towarzystwa, nabywających prawa do udziału w losowaniu pomienionych obrazów i rzeźb w końcu roku.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż na członków **rzeczywistych** Towarzystwa zapisali się: Ks. Kazimierz Kobrzyński, Ks. Leon Zaremba, Ks. Michał Majewski, Ks. Piotr Letkiewicz, Edward hr. Krasiński, Dr. Feliks Drecki, Dr. Edward Sztark, Dr. Mieczysław Zaczek, Dr. Aleksander Wadeniuk, Stanisław Rainschmit, Jan Rudnicki, Bronisław Łącki, Klemens Czemski, Arnold Bronikowski, Franciszek Mirecki, Antoni Pilecki, Tadeusz Romanowski, Alfred Jan Kern, Feliks Pietruszyński, Aleksander Dowojna-Sylwestrowicz, Aleksander Wieniawski, Bronisław Zieliński, Ignacy Rudowski, Gustaw Zabłocki, Tomasz Wolski, Stanisław Staniszewski, Walery Staniszewski, Stefan Baranowski, Władysław Hulewicz, Władysław Staniszewski, Jan Białowąs, Franciszek Gołębiewski, Tomasz Oxiński, Marceli Wilden, Franciszek Ejsmond, Antoni Dal-Trozzo, Roman Gierszewski, Wiktor Saryusz-Raciborowski, Stanisław Sunderland, Feliks Słupski, Henryk Kempiński, Julian Strasburger, Adam Dziewulski, Baltazar Karkosik, Aleksander Wiederschall, Franciszek Brauman, Maciej Antoni Adamowicz, Karol Wilkoszewski, Jan Stankowski, Kazimierz Hulewicz, Teodor Wierzbowski, Witold Kubicki, Witold Zajdler, Emil Schönfeld, Jan Piasecki, Ludwik Kuśmierski, Stefan Walewski, Maurycy Friedman, Aleksander Borawski, Aleksander Kamieniecki, Roman Mieszczański, Antoni Wieczorkowski, Zdzisław Szouk, Ksawery Kurzawiński, Tadeusz Krzyżanowski, Jan Englicht, Stanisław Czajkowski, Bronisław Molsdorff.

Obowiązki członków **korespondentów** przyjąć raczyli: Teodor Wierzbowski, Tadeusz Krzyżanowski, Stefan Walewski, Stanisław Mróz, Ks. Wincenty Miechowicz, Wacław Drzewiecki, Cypryan Bieliński, Karol Biske, Henryk Wyganowski, Karol Mosz, Józef Elzanowski, Ludwik Lesiewski, Władysław Sokołowski, Marceli Wilden, Wiktor Kaczyński, Izydor Pawęczkowski, Kazimierz Chełmiński, Kazimierz Saski, Henryk Chmielewski, Izydor Ellenband, Stanisław Krzywda Pogorzelski — w Warszawie; Andrzej Żółtowski w Międzyrzecu; Jan Stankowski w Radomiu; Józef Kilanowski w Włocławku; Stanisław Sunderland w Siedlcach; Wiktor Saryusz-Raciborowski w Beresteczku; Roman Gierszewski w Chruszczówce; Bernard Dobraniecki w Łodzi; Aleksander Borawski w Petersburgu; Antoni Dal Trozzo w Michałowie; Aleksander Dowojna-Sylwestrowicz w Masłowszczyźnie; Zygmunt Dadzibóg-Kamiński w Szumsku; Bronisław Molsdorff w Płocku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 29 Марта 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.